

# KUŹNICA

Rok V

Łódź, 22 maja 1949 r.

Nr 20 (193)

**TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI**

GEORG LUKACS

Przełożył ROMAN KARST

## WALKA ENGELSA O REALIZM \*)

**E**NGELS ciągle wysuwa sprawę dziedzictwa kulturalnego. Problem ten ściśle wiąże się u niego z historycznym powołaniem proletariatu, polegającym na zniweczeniu nikczemnej rzeczywistości kapitalistycznej i zbudowaniu nowego społeczeństwa, które obiecuje wspaniały rozwój kultury...

Proletariat winien być rewolucyjnym twórcą nowego świata a nie nieznaczną opozycją reformistyczną w ramach ginącego kapitalizmu, jak tego sobie życzyło wielu przywódców socjaldemokracji już za czasów Engelsa. Ciągłe zwracanie uwagi na prawdziwe i wielkie dziedzictwo przeszłości jest zarazem wezwaniem pod adresem proletariatu, ostrzegawczym wskazaniem wielkich zadań, które go czekają.

Engels wielokrotnie podkreśla, że odrzucenie wielkiego dziedzictwa historycznego (np. wydrwiwanie Greków, utopistów itd. u Dühringa) idzie zawsze w parze z śmiesznie ograniczoną małowartościowych eklektycznych prądów modernistycznych współczesności. Nawiązywanie do najwyższych wartości kulturalnych ludzkości — ale też tylko do takich wartości a nie do pomniejszych znakomitości przelotnych — jest nieodzownym zadaniem rewolucyjnego ruchu robotniczego. Zadanie to jest doniosłe właśnie z tego względu, że burżuazja coraz bardziej oddala się ideologicznie od wielkich tradycji kulturalnych ludzkości, proletariatu zaś nie może wyczerzać z niłości swojej bojowej ideologii, jak później swojego nowego ustroju społecznego i jego ideologii.

Walcąc o dziedzictwo, Engels bynajmniej nie idealizuje przeszłości. Decydujące znaczenie metodologiczne w tej kwestii ma jego walka prowadzona równocześnie z postępową mitologią i z romantycznym upiększaniem przeszłości. Materialista dialektyczny musi wyraźnie rozróżnić związek każdego wielkiego zjawiska literackiego przeszłości z jego podłożem ekonomicznym i klasowym, np. związek literatury greckiej z niewolnictwem. Byłoby jednak zupełnie niedopuszczalnym i niedialektycznym zwróceniem i spłyceciem problemu, gdyby ograniczono poznanie dawnej literatury i sztuki do stwierdzenia społecznej podstawy każdorazowego zjawiska literackiego. Byłoby również niedialektycznym zapoznaniem praw nierównomiernego rozwoju, gdybyśmy bezpośrednio ze społecznej analizy wywodzili „dobre” (postępowe) i „złe” (reakcyjne) właściwości poszczególnych dzieł i pisarzy. Poznanie wielkich postaci minionych epok literackich jest o wiele zawężone, zwłaszcza — o czym wulgarni socjologowie bądź zapominają bądź też mechanicznie spływają — że literatura jest niekiedy wyjątkiem, a nie regułą. Na tym właśnie polega nieprzemijająca potęga twórcza dawnych wielkich realistów.

Engels wykazuje najdobitniej na przykładzie Balzaka ten skomplikowany a mimo to jednoznaczny proces dialektyczny rozwijania się wielkiego realizmu:

„To, że Balzak był zmuszony działać wbrew swoim własnym sympatiom i uprzedzeniom politycznym, że widział konieczność upadku swoich umiłowanych arystokratów i opisał ich jako ludzi, którzy nie zasługują na lepszy los, oraz to, że widział prawdziwych ludzi przyszłości tam, gdzie ich jedynie można było znaleźć — uważam za jedno z największych zwycięstw realizmu, za jeden z najwybitniejszych rysów starego Balzaka”.

Engelsowi nie chodziło zatem o „dobre” i „złe” cechy Balzaka, nie o zwykły socjologiczny rodowod jego pisarstwa, lecz o uratowanie nieprzemijającej wielkości jego realizmu, o zapobieżenie wszelkiemu

nadużywaniu reakcyjnych stron twórczości Balzaka.

Walka o dziedzictwo jest przeto u Engelsa równoznaczna z wielkim przeciwstawieniem tytanów przeszłości kartom współczesnej rzeczywistości burżuazyjnej. Tu właśnie uwydatnia się najdobitniej łączność tego zagadnienia z historycznym powołaniem proletariatu. Engels pisze w Anty-Dühringu: „I nie tylko robotnicy, także klasy bezpośrednio lub pośrednio wyzyskujące robotników zostają przez podział pracy oddane w niewolę narzędzi ich działalności; wyjątkowo duchowo bourgeois w niewolę własnego kapitału i własnej żądzy zysku, prawnik w niewolę swych skostniałych wyobrażeń prawnych, które panują nad nim jako samodzielna potęga; „warstwy wykształcone” w ogóle w niewolę wszelkiego rodzaju prowincjonalnej ciasnoty i jednostronności, w niewolę ich własnej krótkowzroczności fizycznej i duchowej, w niewolę ich kalcektwa spowodowanego przez wychowanie przykrojone na miarę specjalności i przez dożywotnie przykucie do tej specjalności — nawet gdy specjalność ta jest tylko próżnowaniem”.

Tym zwyrodniałym kartom kapitalistycznej teraźniejszości Engels przeciwstawia gigantyczne postaci Odrodzenia. Był to największy przewrót postępowy, jaki ludzkość przeżyła od owych czasów, była to epoka, która potrzebowała tytanów i tytanów rodu, tytanów wielkiej myśli, gwałtowności i charakteru, tytanów wielkiej stronności i wiedzy. Ludzie, którzy ugruntowali nowoczesną władzę burżuazji, byli wszystkim, tylko nie mieszczką ograniczeni... Ludzie owego czasu nie byli jeszcze niewolnikami podziału pracy, którego ograniczające i wypaczające wpływy tak często wyczuwamy w ich następach. Co jednak ich szczególnie charakteryzuje, to okoliczność, że prawie wszyscy żyją życiem swej epoki, biorą udział w praktycznej walce, angażują się i walczą, jeden słowem i piśmem, inny mieczem, niekiedy jednym i drugim. Stąd owa pełnia i siła charakteru, dzięki której są prawdziwymi ludźmi. Odrzuceni od życia uczeni są wyjątkiem; są to bądź ludzie drugiego i trzeciego rzędu, bądź ostrojni filistrzy, którzy nie chcą poparzyć sobie palców”.

Możemy tylko wtedy należycie ocenić to przeciwstawienie zasadające się na różnych następach, które cechują rozwój społecznego podziału pracy, jeśli weźmiemy pod uwagę, jak mało rozumianno w II Międzynarodówce wielką perspektywę rewolucji socjalistycznej i przewrót społecznego podziału pracy, oraz jak bardzo zatraciła się wielka perspektywa wszechstronnego człowieka socjalizmu w literaturze z okresu II Międzynarodówki. Niemiecki proudukt Mühleberger, przeciwnik któremu Engels napisał swój „Problem mieszkaniowy”, uważał np. zniesienie społecznego podziału pracy między miastem a wsią za zwyczajną utopię. Pogląd ten nie był bynajmniej w II Międzynarodówce odosobniony, acz nie zawsze wypowiadano go tak otwarcie i tak naawne. Debata w sprawie demokracji między Leninem a Kautskym świadcza niezwykle wyraźnie, jak bardzo oportunistyczna zdrada teoretyków II Międzynarodówki opierała się, jeśli chodzi o jej zupełnie bezkrytyczną jednostronność, na „teoretycznych” założeniach burżuazji. Engelsowskie ujęcie dziedzictwa wskazuje przeto nie tylko założenia wymagalne dla stworzenia własnej wielkiej literatury proletariackiej, lecz jest zarazem drugocząca krytyka kapitalistycznej rzeczywistości. Ujęcie to wskazuje drogę oswobodzenia się od żalostnej jednostronności, dając plastyczny dowód historyczny przemijającego charakteru tego okresu.

Walka o dziedzictwo wiąże się u Engelsa nierozłącznie z walką o wielki realizm w literaturze. Engels walczy bezwzględnie

z każdą koncepcją idealistyczną w zakresie literatury i teorii literackiej. Linia ta zarysowuje się najwyraźniej w jego krytyce tragedii Lassalle'a „Sickingen”. Walki tej nie można jednak oddzielić od jego walki z małostkowym realizmem, tzn. z realizmem okresu ginącej burżuazji. Po drugoczącej krytyce idealistycznej charakterystyki postaci Lassalle'a, Engels pisze: „Zupełnie słusznie występuje pan tu przeciw panującej obecnie ziej indywidualizacji, która polega na płytkim medlowaniu i jest istotną cechą wiedznej literatury epigonów”. Jest to krytyka, która — jako potępienie pseudorealizmu ginącej burżuazji oraz jej wpływu na literaturę proletariacką — jeszcze dziś nie straciła na aktualności.

Założeniem prawdziwego realizmu nie są pomniejsze i przypadkowe właściwości człowieka. Engels zgadza się z Lassallem, kiedy ten podejmuje próbę naszkicowania swych charakterów na podstawie wielkich walk historycznych omawianego okresu. „Pański Sickingen bezwzględnie znajduje się na słusznej drodze; działające postaci główne są przedstawicielami określonych klas i kierunków a więc określonych myśli swego czasu i czerpią swoje motywy nie z małostkowych indywidualnych pożytkowości, lecz z wielkiego prądu historycznego, który je unosi”. Engels gani natomiast u Lassalle'a idealistyczną autonomizację typowości, jego oderwanie się od momentów indywidualnych i przypadkowych, oraz wynikająca stąd nieodpowiednie retoryczna, przypominająca Schillera formę ekspresji. „Wszelako postęp, którego należałoby jeszcze dokonać, polega na tym, aby motywy te na skutek przebiegu akcji same wysunęły się żywo, czynnie, że tak powiemy, żywiołowo na plan przedni, natomiast argumentacja debata... stawała się coraz bardziej zbędna”. Engels wysuwa ten postulat w liście do Minny Kautsky tak samo wyraźnie, acz nie w sposób polemiczny: „Każdy jest typem, zarazem jednak określona indywidualnością, jest „typem”, jak wyraża się stary Hegel, i tak też musi być”. A w liście do M. Harkness konkretyzuje ten postulat jako wyczerpujące określenie realizmu: „Realizm oznacza moim zdaniem prócz prawdy szczegółów prawdziwe oddanie typowych charakterów w typowych warunkach”.

Z tej zakrojonej na wielką miarę, historycznej i dialektycznej uzasadnionej koncepcji realizmu, która definiuje zarazem, że sztuka jest odzwierciedleniem rzeczywistości i przez to, pretenduje do obiektywnej prawdy — wynika oczywiście, że dla Engelsa Szekspir jest największym, nieosiągalnym wzorem literatury realistycznej. Szekspir reprezentuje dla Engelsa wielkie przeciwieństwo zarówno idealistycznej nadtości sztuki, jak i pomniejszego realizmu kapitalistycznej rzeczywistości. Szekspir jednoczy w sobie nawiązanie do wielkich trwałych i typowych motywów działania ludzkiego z największym urealnieniem indywidualności tego działania. Ta konkretyzacja jest możliwa tylko poprzez kształtowanie specyficznej indywidualnej właściwości działania. Engels pisze na ten temat do Lassalle'a: „Wydaje mi się jednak, że człowieka charakteryzuje nie tylko to, co, lecz także, jak on to robi”. Wypomina też idealistyczne Lassalle'owi, że zlekceważył to indywidualistyczne „jak”, co spowodowało schematyzację jego postaci. Pod tym względem chwali M. Harkness, ponieważ z jej opowiadania można „może po raz pierwszy... dowiedzieć się, dlaczego Armia Zbawienia wwiiera taki wpływ na masy ludowe”. Także tu krytyka Engelsa oraz jego powoływanie się na Szekspira nie straciły bynajmniej na aktualności. Prawdziwe, twórcze połączenie pierwiastka indywidualnego z typowym, konkretne wypracowanie owego „jak” działania, myślenia i odczuwania poszczególnych posta-

Kultura kapitalizmu to nic innego, jak system środków fizycznego i moralnego rozszerzenia i utrwalenia władzy burżuazji nad światem, nad ludźmi nad skarbami ziemi, nad siłami przyrody. Burżuazja nigdy nie rozumiała rozwoju kultury w sensie koniecznego rozwoju całej ludzkości.

Maksym Gorki

## TREŚĆ NUMERU:

- GEORG LUKACS —  
WALKA ENGELSA O REALIZM
- ALEKSANDER JACKIEWICZ —  
POWIEŚĆ O CZOŁGU „203”
- WACŁAW KUBACKI —  
„ODA DO MŁODOŚCI”
- ROMAN ZRĘBOWICZ —  
BYRON
- PABLO NERUDA —  
ŚPIEW O STALINGRADZIE  
PIEŚŃ O BOLIWARZE
- STANISŁAW KOWALEWSKI —  
WALKA KLAS
- IGNACY SZANIAWSKI —  
SKĄD I DOKĄD?
- ANDRZEJ NOWICKI —  
HISTORIOZOFIA CROCEGO
- ADAM WAŻYK —  
Z TEATRÓW ŁÓDZKICH
- LEON BUKOWIECKI —  
ZA WAMI PÓJDA INNI
- PRZEGLĄD PRASY  
NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH  
KORESPONDENCJA  
NOTY

ci — jest jeszcze nadal najsłabszym punktem naszej literatury.

Powoływanie się na Szekspira zawiera w sobie — i to jest bardzo charakterystyczne — przypomnienie Engelsa, że należy wciąż otwierać konkretną całość społeczeństwa w jego rozwoju. Zarazem zawiera ono postulat unikania wytwornej izolacji burżuazyjnej literatury od „nieoficjalnych”, plebejskich elementów społeczeństwa. Tak więc pisze Engels do Lassalle'a wypominając mu ostro pominięcie ruchu chłopskiego: „Co się tyczy mego zdania o dramacie... wykorzystanie ówczesnych, tak wspaniale wielobarwnych, plebejskich sfer społecznych dostarczyłoby jednak zupełnie innego materiału dla ożywienia dramatu, stworzyłoby nieocenione tło dla występującego na scenie narodowego ruchu szlacheckiego i rzuciłoby dopiero na ten ruch należyte światło”. Uczynić to może prawdziwie wielki realizm, który czerpie swoją siłę z dokładnego poznania historycznych przemian społecznych. Realizm ten musi faktycznie obejmować wszystkie warstwy społeczne, przełamywać szranki „oficjalnej” koncepcji historii i społeczeństwa i wyraziście odtwarzać owe warstwy i kierunki społeczne, które są twórcami rzeczywistych przemian społecznych oraz nowego typu człowieka. Realista, sięgając do tych głębokich pokładów i wydobywając je w twórczy sposób na światło dzienne, spełnia prawdziwie oryginalne i prawdziwie twórcze zadanie literatury.

To pisarskie przenikanie do głębin społecznej i ludzkiej problematyki, to przełamywanie powierzchownej motywacji społecznej wydarzeń — zarówno gdy chodzi o „oficjalne” sfery, jak i o codzienną nastroje mas — jest dla Engelsa nieodzowną przesłanką trwałego wpływu dzieła sztuki. Dopiero realizm może w literaturze dotrzeć do głębin, które odzwierciedlają istotne siły kierujące rozwojem społecznym. Ta krytyka pozwala Engelsowi rzucić światło nie tylko na klasyczną i współczesną literaturę burżuazyjną, lecz również na rewolucyjną literaturę proletariatu oraz poprzedzających go klas rewolucyjnych. Jego krytyka jest i pod tym względem nieprzejednana surowa. Tak więc pisze on do Schlütera na temat rewolucyjnej poezji przeszłości: „w ogóle poezja minionych rewolucji (wciąż wykluczając Marsyliankę) rzadko kiedy wiera w późniejszych czasach rewolucyjne wrażenie, ponieważ musi — aby wywierać wpływ na masy — również odzwier-

\*) Z pracy pt. Fryderyk Engels jako teoretyk i krytyk literatury.



ciędlac uprzedzenia mas tego okresu. Stąd religijny nonsens nawet u czartystów".

Z tego punktu widzenia Engels może powiedzieć o Balzaku, że nauczył się od niego — jeśli chodzi o szczegóły ekonomiczne — więcej, niż z książek wszystkich zawodowych historyków, ekonomistów i statystyków tego okresu razem wziętych. Podczas, gdy dumni ze swego kultu faktów pisarze okresu imperialistycznego powtarzają tylko już statystycznie ogłoszone fakty, starzy wielcy realisti odkrywają zdarzenia i związki, które wykraczają daleko poza horyzont zwykłych ekonomistów i statystyków. Historycznie można pojmować literaturę faktów jako opozycję przeciw jednostronnie formalnemu estetyzmowi i formalizmowi literatury ginącej burżuazji, byłoby wszakże groteskowym nieporozumieniem, gdyby pisarze proletariacki szukali środków poznawania i odtwarzania rzeczywistości tutaj a nie na wskazanej przez Engelsa drodze wielkiego realizmu.

Na przykładzie dokonanej przez Engelsa analizy renesansu mogliśmy dostrzec, jak dalece — w myśl ujęcia materializmu dialektycznego — każde doniesienie i głębokie odbicie obiektywnej rzeczywistości w świadomości ludzkiej (a więc także w literaturze i sztuce) wymaga ścisłego powiązania teorii z praktyką. Oderwanie się pisarzy burżuazyjnych od praktyki swojej własnej klasy, deprecjacja tej praktyki, skostnienie i autonomizacja literatury na skutek kapitalistycznego podziału pracy oraz powstanie literatury kapitalistycznej — wszystko to złożyło się na wyłonienie się kierunku „sztuka dla sztuki”, z drugiej zaś strony na powstanie tendencyjnej poezji w sensie burżuazyjnym. Teoria literacka II Międzynarodówki nie przekracza kręgu tego fałszywego dylematu ginącej bur-

żuazji, a niezdolność do znalezienia słusznego marksistowskiego rozwiązania problemu łączności teorii i praktyki w dziedzinie literatury cechuje nie tylko początki proletariacko-rewolucyjnego pisarstwa, lecz również współczesną literaturę. Także w tej kwestii Engels wystąpił ostro przeciw obu fałszywym tendencjom burżuazyjnej literatury, przeciwstawiając im tertium datur dialektyczno-materialistycznego rozwiązania. Marks i Engels tak głęboko zniechęcili epigonistyczną istotę formalizmu „sztuka dla sztuki”, że Marks pochwalił nawet złe wiersze w „Sickeningie” Lassalle'a, dając wyraz swej opozycji przeciwko wylizanej „doskonałości” epigonów.

Dla rozwoju słusznego marksistowskiego ujęcia literatury była wszelako nieodzowna walka z powierzchownym burżuazyjnym pojęciem tendencyjności. W swoim ostatecznym rozrachunku z „Młodymi Niemcami” Engels pisał na ten temat następująco: „Coraz bardziej stało się przyzwyczajaniem, zwłaszcza podrzędnego rodzaju literatów, uzupełniać braki literackich umiejętności aluzjami politycznymi, które by z pewnością zwróciły na nich uwagę. Wiersze, powieści, recenzje, dramaty, wszystkie twory literackie roily się od „tendencji”, jak to nazywano, tzn. od mniej lub więcej bojaźliwych wypowiedzi wrogiemu rządowi ducha”.

Engels domaga się, rzecz jasna, określonej postawy i tendencji od każdej rzeczywiście doniosłej i realistycznej sztuki. Tendencja ta nie jest jednak czymś subiektywnym, tylko, zewnętrznym i samowolnym atrybutem treści i formy utworu, lecz musi nieodzownie i organicznie wynikać z jego treści. W tym znaczeniu Engels w swoim liście do Minny Kautsky całkowicie aprobuje tendencję: „Mnie-

mam wszakże, że tendencja musi sama wynikać z sytuacji i akcji bez wyraźnego wskazywania na nią i poeta nie jest zobowiązany kłaść czytelnikowi do rąk przyszłego historycznego rozwiązania konfliktów społecznych, które opisuje”.

Tendencja, którą Engels tutaj aprobuje, jest przede wszystkim z ową „partyjnością”, zawarta, zdaniem Lenina, w materializmie. Jest to tkwiąca w opisywanym materiale wielka społeczna tendencja rozwojowa, wiążąca się ściśle z praktyką społeczną, z historycznym i bojowym stanowiskiem autora wobec wielkich walk społeczno-historycznych. Tendencja ta nie jest zatem nigdy czymś wyłącznie subiektywnym, nie jest „wyznaniem” autora ani też projektowaniem przez niego utopijnym rozwiązaniem konfliktów społecznych. Wydobywa ona jako najgłębszą treść, najistotniejszą prawdę artystyczną kształtowanego materiału życiowego i nie powinna być nigdy subiektywnym dodatkiem, mniej lub więcej niezależnym od tego materiału życiowego.

Także tu Engels przeciwstawia ubóstwu kapitalistycznej poezji tendencyjnej wielką twórczość tendencyjną minionych epok; albowiem zagadnienie tendencji jest u Engelsa również nierozdzielnie związane z problemem dziedzictwa. W liście do Minny Kautsky pisał: „W żadnym wypadku nie jestem przeciwnikiem poezji tendencyjnej jako takiej. Ojciec tragedii Ajschylos i ojciec komedii Arystofanes byli obaj wybitnie tendencyjnymi poetami, nie mniej Dante i Cervantes, a największą wartość „Intrygi i miłości” Schillera polega na tym, że jest ona pierwszym, niemieckim politycznym dramatem tendencyjnym. Współcześni Rosjanie i Norwegowie, którzy piszą znakomite powieści, są wszyscy pisarzami tendencyjnymi”. A zatem Engels także tu broni

wielkiej linii historycznej realizmu przeciw eklektycznej mieszance samego empiryzmu i pustego subiektywizmu we współczesnej literaturze burżuazyjnej.

Engels odrzuca stanowczo również w literaturze, jak i w każdej dziedzinie, wszelką utopijność i wszelkie utopijne uprzedzenia na temat przyszłego rozwoju społecznego. Jako materialistyczny dialektyk koncentruje swoją uwagę na realnym poznaniu prawdziwych tendencji rozwoju społecznego, na dokładnym i konkretnym określeniu praktyki proletariackiej, zgodnej z tymi tendencjami rozwojowymi. Stosując w ten sposób materializm dialektyczny, Engels odkrył i wytyczył wraz z Marksem ową linię proletariackiego rozwoju literatury, którą potem kontynuowali ich wielcy uczniowie Lenin i Stalin, broniąc jej przeciw każdemu wypaczeniu i skrzywieniu, rozwijając ją i konkretyzując. Walkę Engelsa o wielki realizm, wzbogaconą teoretyczną pracą Lenina, prowadzi dalej i konkretyzuje w okresie odbudowy socjalistycznej stalinowska teza „realizmu socjalistycznego”. Jeśli więc walczymy na polu literatury o realizację wysuniętej na XVII Kongresie WKP(b) tezy stalinowskiej, o usunięcie pozostawłości kapitalizmu, w świadomości ludzkiej, to musimy również mieć stale na uwadze decydującą rolę, jaką odegrała i jeszcze dziś odgrywa w wypracowaniu teoretycznych założeń tej linii literacko-teoretycznej i krytycznej działalności Engelsa.

Prawdziwa konkretyzacja zagadnień realizmu staje się coraz bardziej imperatywnym postulatem dnia. Z każdym dniem rosąca doniosłość tego, że życie w Związku Radzieckim nabiera coraz głębszej treści socjalistycznej, rozmach powstawania nowego człowieka w naszych oczach — wszystko to wymaga nie tylko najistotniejszej sztuki realistycznej, lecz także wykazuje, że utarty i powierzchowny realizm „nowoczesny” jest niezdolny do odpowiedniego rozwiązania tych zagadnień. Ideologiczne zerwanie z formami i metodami twórczymi, które powstały w okresie imperialistycznym lub też uległy metamorfozie odpowiednio do tego okresu, stało się już zjawiskiem międzynarodowym, które ogarnia najlepszych pisarzy współczesnych. Henryk Mann formułuje tę tendencję ze zwykłą dlań, pochwałą godną szczerości: „Literatura, czy chce czy nie chce, kroczy ku socjalizmowi. Dlaczego? Ponieważ poza światem socjalistycznym nie może istnieć żadna literatura. Zbliża się ona nieodwołalnie do robotników, gdyż ci okazują szacunek ludzkości i bronią kultury”.

Zwrot do socjalizmu dokonuje się właśnie w najlepszych i najgłębszych przedstawicielach współczesnej literatury. Zwrot ten nie ma już dziś nic wspólnego z abstrakcyjną bałamutną ideą ekspresjonistów 1918 roku. Nie chodzi już więcej o deklamatorsko-pusty entuzjazm albo o sympatię dla socjalizmu, ani też o abstrakcyjne odrzucenie abstrakcyjnie pojętej i od ekonomii oderwanej „burżuazyjności”. Socjalizm staje się dla tych pisarzy coraz bardziej konkretny. Konkretność ta rozwija się równoległe do rosącej stanowczości krytyki, której pisarze ci poddają ginący kapitalizm, jego kulturę i jego literaturę.

Ten wielki zwrot wzmacnia tendencje realistyczne. Zarazem jednak zaostrza się krytyka realizmu okresu imperialistycznego. Pisarze sięgają coraz częściej do wielkiego dziedzictwa realizmu, w poczuciu, że kopiujący rzeczywistość naturalizm (obojętne, czy będzie to montaż czy psychologia) nie wystarczy do wyrażenia wielkich zagadnień epoki. Zostaje proklamowany postulat realizmu, który dorównywałby staremu.

Społeczno-polityczny zwrot, który dokonał się w największych pisarzach naszych czasów, pobudza do głębokiej krytyki współczesnych metod twórczości artystycznej. Wielkie przegrupowanie ideologiczne inteligencji wkracza w istotne zagadnienia formalne literatury. Literackie ujęcie realizmu zmierza więc obecnie do owego poziomu, który swego czasu osiągnęli — zaledwie wtedy zrozumiani — Marks i Engels. Ich poglądy muszą ponownie służyć jako teoretyczny kompas, jeśli chcemy należycie i głęboko rozwiązać wyłaniające się nowe zagadnienia. Jakiekolwiek konkretne zagadnienie z tego kompleksu problemów chcielibyśmy dziś rozstrzygnąć, w każdym z nich stawką jest z podstawową pracą teoretyczną Fryderyka Engelsa. Literacko-teoretyczne i krytyczne dziedzictwo Engelsa nie może przeto być dla nas martwym dziedzictwem, lecz powinno stanowić żywą część składową teraźniejszości. Winno ono być skutecznym narzędziem realizacji naszych aktualnych i historycznie doniosłych zadań na polu literatury oraz przyczynić się do rozwijania realizmu socjalistycznego, którego zagadnienia coraz bardziej stają się dziś ośrodkiem problematyki literatury światowej. Georg Lukacs. Przełożył Roman Karst

ALEKSANDER JACKIEWICZ

## POWIEŚĆ O CZOŁGU „203”

OFICER Sobolkow w powieści Leonida Leonowa pt. „Zdobycie Wielkoszumsk” tak mówi do młodocianego czołgisty: „Wasia, uważaj to miejsce, gdzie ty się znajdujesz, za najważniejszy punkt na kuli ziemskiej... a reszta to tylko przylegające okolice. A potem pomyśl, że Stalin nie ma nikogo ważniejszego od ciebie i że on tobie polecił kierować historią świata. Dlatego, bo historia, mój kochany Wasia, to też jest czołg... trzymaj mocno kierownicę w swych rękach”.

Akcja powieści Leonowa rozgrywa się na wąskim odcinku kilkudniowej bitwy o ukraińskie miasteczko Wielkoszumsk. Centralnym bohaterem utworu jest czołg i jego załoga. A przecież pisarz potrafił ukazać w tej bitwie — w związku z losem najmniejszej jednostki wojskowej — całą istotę ostatej wojny na terenie Związku Radzieckiego, jej wysoką temperaturę ideową. Na przykładzie kilku żołnierzy zaprezentował armię i naród, z nią nieodłącznie związany. U Leonowa nie ma ani geograficznej, ani psychicznej granicy między frontem a jego zapleczem. Cały lud walczy o całą ojczyznę, o własną ojczyznę. Oficer Sobolkow bił się za swój rodzinny Altaj, za sady jabłoni, za swoją córeczkę, która pisała do niego listy w kopertach z okładką zeszytów szkolnych, a czołg odczytywał je półgłosem w samotności, łącznie z tabliczką mnożenia wydrukowaną na odwrocie okładki. Czołgista Wasia mścił swoją znieważoną przez Niemców matkę, lecz swoją miłość do wyboru między frontem a odwetem osobistym na określonym przeciwniku, którego przypadkowo rozpoznał — wybrał front.

Walka toczy się nie tylko o własną ojczyznę, ale o człowieka w ogóle. Czołgista Leonowa rozumieją do doskonałości. Jeden z nich mówi: „Czy jest coś, czego nie zrobilibyśmy dla nich, dla dzieci... dla dzieci całego świata? Ponosimy wszelkie ofiary, byleby one swoich pantofelków w błocie nie unurzały. Wiesz wypłbim duszkiem całe draństwo świata, byleby dla nich ani kropli nie zostało”.

Spójnie narodową podkreślił Leonow w swej książce w sposób bardzo prosty, ale jakże istotny. Posłużył się popularnym na Ukrainie nazwiskiem Litowczenko, którym nazwał generała, dowódcę korpusu pancernego, oraz jego najmłodszego żołnierza Wasię. Zapoznał nas również z rodziną innych Litowczenków, której wojenny los jest reprezentatywny dla wielu rodzin radzieckich: jeden brat zginął z rąk Niemców — trwając na posterunku jako przewodniczący kolchozu, innego wywieziono do Rzeszy, trzeci — Kuźma — uciekł z terenów zajętych przez wroga do armii radzieckiej. Wasia Litowczenko, syn znieważonej matki, uczynił to samo. Jest obcy wymienionej rodzinie, ale poza wspólnym nazwiskiem — niesie wspólny los.

Wszystkie sprawy natury tzw. ogólnej odnosi Leonow zawsze bezpośrednio do człowieka, nie do Człowieka filozoficznego, ale do Wasi, Dyboka, Obrładina. Przeszłość przemienia się całego narodu żyje w teraźniejszości. Oto przeszłość: zbiór fotografii zawieszony w chałupie Litowczenków — zdew-

częta w pstrokatach spódnicach, chłopcy w kuszach marynarkach, carscy grenadierzy i czelodni zaporozcy, założyciele rodzin — jest tu i wszechświatowski Kijów. Żołnierze radzieccy, wycieczający w izbie przed bitwą, czują się odpowiedzialni za swoje czyny w obliczu tych niemych twarzy Zabici czołgistów żyją w czołgach walczących. Oficer Sobolkow często nazywa swoich obecnych towarzyszy, stanowiących załogę maszyn, imionami tych, co już zginęli, powołuje się na nich i do nich się odwołuje.

Generał Litowczenko w fikcyjnej rozmowie ze swoim dawnym nauczycielem wspomina swego dziada, który nawet wówczas kiedy tańczył, „zdawało mi się, że chce się odbić pudowymi butami od błedy. Ale wiara w prawdę nigdy nie opuszczała narodu, naród wierzył, że ona zastuka kiedyś do jego ołdka. Postanowiliśmy pomóc historii i zbliżyć czas nadejścia legendy...”. A dalej: „...człowiek słaby, śmiertelny, młnema, że żyje na granicy czasu; bół zastania mu spojrzenie na przyszłość. Ale kiedy czołgista kurczy swoją machorkę przed atakiem, patrzy on przed siebie, jakby trzymał w ręku gazetę dwudziestego pierwszego wieku. pełną wielkich nowin”.

Spojrzenie w przyszłość nie gubi się w mgłach, generał Litowczenko widzi ją ze swego punktu obserwacyjnego pod rodzinnym Wielkoszumskiem, stąd daje znak ponad szeroką rzeką czasu — przyszłym pokoleniom: „Nie zwracamy się do nich ani z orędziem ani z żalem. I bez tego są to nasi sprzymierzeńcy do ostatniej kropli krwi. Z obnażonymi głowami nawiedzą oni szkielety naszych miast, rozkobią wapienne wykopanki, sła wspólnych mogił, święty i mądry smutek ogarnie ich serca. Któż potrafi omamnić ich pokusa bydlęcą życia — ery, kiedy nauka tworzyła „duszogubki”, a przemoc i grabież były zapowiedzią nowego średnio-wiecza? Kiedy zrozumieją wszystko, będą sławić nasze cierpienia i prostackie pieśni, niedzny ubiór i surowe obyczaje epoki uwiecznionej zwycięstwem...”.

Sprawa generała Litowczenki obramowuje niejako tę precyzyjnie skonstruowaną powieść. Generał stoi na czele pancernego korpusu, który forsuje Wielkoszumsk. Ale zwycięstwo w bitwie będzie dla niego nie tylko jeszcze jedną strategiczną wygraną. Generał pochował w tym miasteczku swoją matkę, zmarłą tam przed laty. W Wielkoszumsku jeszcze do wojny mieszkał jego stary nauczyciel Kulkow, który go niejednokrotnie zapraszał w odwiedzinę na soczyste arbuzy. W posiadaniu Kulkowa znajdował się także globus, który przed laty młody Litowczenko upuścił na podłogę, skutkiem czego „została zgnieciona Europa od Wisły aż do Renu”. Zdobycie Wielkoszumsk — to jednocześnie okazja, aby odetchnąć aromatem dalekiego dzieciństwa i ocenić szmat drogi przemierzonej w ciągu życia. Lecz w zdobytym mieście generał nie zastał już Kulkowa. Właśnie pisał jego dom i dom zmarłej matki generała, zielarki, której „ciało dawno zamieniło się w kwiaty i trawę, których kiedyś była panią, głos rozpylniał się w szepcie rosy, listowia i strumyków, a oddech wślął w nieogarnięte przestwory ojczyzny”. W tej ojczyźnie generał czuł bliskość matki i wierzył, że staruszka wraz z całą ziemią rosyjską słyszy salwy honorowe, które na jego cześć grzmiały w Mo-

skwie. Wojna wypaliła przeszłość, ocalał tylko globus ze zgniecioną przez generała Europą.

O ile Leonow, w związku z postacią tego Litowczenki, ogarnął świat idei i urzekającą liryzmu, to do końca jego młodocianego imiennika rozwinął twardą rzeczywistość grozy wojennej. W opisie bitwy doszła do głosu epika, ale epika jakże swobodna. Bitwę wielkoszumską widzimy przez wąską szparę bohaterkiego czołgu „203”. To zacieśnienie ram spojrzenia na rozgrywające się wypadki dało obszarni nieodczulną dynamikę. Akcja, skoncentrowana na pokładzie maszyny, rozszerzyła się o całą gamę ludzkich uczuć, pomnożyła się o żywy organizm samego czołgu i o wruszającą postać (tak, postać!) niedłobowego czołgisty — kota Kiso.

„203” — to nie martwe żelazo, lecz suma bezsensownych nocy jego konstruktorów, sily ramion pracujących hutników i ciepłego dotknięcia rąk kobiet zatrudnionych w warsztatach. Gdy „203” poszedł do remontu, stary robotnik odczytał z ran zadanych żelazą całą biografię korpusu pancernego — i zdjął przed czołgiem czapkę. Żołnierze załogi poznajemy bardzo blisko, chociaż stykamy się z nimi za ledwie w ciągu kilku dni. Mają oni swoje miłości, tęsknoty, śmiech i smutek — ale nienawidzą ich jest jedna. Nienawidzą wroga nie za to, że jest Niemcem, lecz za to, że odebrał im ich sady owocowe, groby matek, porwał i dusił w studniach ich dzieci. Nienawidzą Niemców właśnie przez miłość do wszystkiego, co człowiekowi jest najdroższe i najbliższe.

Bitwa i wielkie czyny załogi „203” rozgrywa się w atmosferze tego świętego gniewu, gdy zaś czołg wreszcie uległ przemocy wroga, jeden z odłamków, zabijając dowódcę Sobolkowa, uderzył go w same usta, „w samą bajkę, niedokończoną bajkę całego jego życia”. Sobolkow był natchnionym bajzrem, przed ostatnim atakiem opowiadał kolegom starą bylinę przerobioną na swój sposób. Wróg zabił nie nieznanego żołnierza, lecz cały świat i całe piękno człowiecze.

Ginie również kot Kiso. Grał on znaczną rolę w czołgowej społeczności, był bowiem słaby i bezbronny, zaś żołnierze w tej wojnie bronili bezbronnych. Walczyli między innymi o przyszły barszcz z wleprzowaną dla swego Kiso. Leonow opisuje w innym miejscu również psa ginącego podczas bombardowania. Śmierć ta jest tak wruszająca, jak śmierć człowieka. Zejść, który przypadkowo zabił go w sam środek bitwy, staje się mimo woli sprzymierzeńcem czołgistów, myląc swym opętanym kluczeniem celność strzałów wroga. Rola zwierząt, jak i rola przyrody nie jest pod piórem Leonowa sprawą przypadkową. Wróg niszczy zębą całej ojczyzny, ludziom, zwierzętom, światu roślin i przedmiotów martwych. Zrujnowane domy, palące się osiedla — boją wprost fizycznie w książce Leonowa.

Bitwa się kończy. Czołg zginął wraz z częścią załogi. Pozostali przy życiu: Wasia Litowczenko i jego dzielny towarzysz noszący buławę w tornistrze, Andrusza Dybok, ślepką sobie dłoń. Dybok mówi: „Cokolwiek się stanie, przyjdź do mnie... Dam ci połowę tego, co będę miał”.

O ile idzie o przekład utworu, wypadła stwierdzić, że tłumacz zbyt niewolniczo szedł za tekstem, wskutek czego śmiała artystycznie książka Leonowa jako przygasa w interpretacji tłumacza, zaciera się jej fascynujący styl.

\* Leonid Leonow: „Zdobycie Wielkoszumsk”, tłum. Julian Strykowski, Spółdz. Wyd. „Książka” 1948.

Książka tygodnia







kowski, T. Sinko, ostatnio W. Borowy), J. Tretiak wskazał na Helvetiusa, T. Zieliński na Benthama. L. Kamykowski przypomniał Dugalda Stewarta. To chyba wszystko. Nazwisko Shaftesbury'ego pojawia się w pracach nad Mickiewiczem dopiero w okresie Drezdeńskim i to z powodu „Prometeusza” Goethego! Jako osobliwość należy podać, że Dobrzycki w swych notatkach do historycznego słownika literackiego nie uwzględnił Shaftesbury'ego nawet przy terminie „entuzjazm”. Tymczasem „Korespondencja Filomatów” świadczy, że najbliżsi towarzysze poety posiadali dzieła Shaftesbury'ego we francuskim przekładzie i że czytali prawie tych samych angielskich etyków, moralistów i estetyków, których widzieliśmy w spisie lektur najwybitniejszych preromantyków i romantyków niemieckich. Występują więc w listach Filomatów: Hogarth, Home, Clarke, A. Smith, Hume, Fergusson i Stewart. Mamy nawet pomniejszych estetyków ze szkoły Shaftesbury'ego, jak Al. Gerard, który zresztą nie bardzo przypadł do smaku Mickiewiczowi. W ogłoszonych niedawno ineditach Mickiewiczowskich znalazł się nadto Hutcheson. Przy sposobności warto spro-

stować, że z referatu Mickiewicza wyraźnie widać, iż przedmiotem dyskusji było główne dzieło Hutchesona „Inquiry into the original of our ideas of beauty and virtue”, a nie, jak przypuszcza wydawca, „A system of moral philosophy”. Pasjonujących pisarzy angielskich czytali Filomaci w przekładach lub opracowaniach francuskich a czasem rosyjskich (Hutcheson).

To zmienia dosyć poważnie tradycyjny obraz romantyzmu polskiego, wyjaśnianego nieraz przy pomocy „wpływu literackich” Schillera, Goethego i Byrona. Okazuje się, że źródła naszego romantyzmu są głębsze i bardziej oryginalne, niż się potocznie myślało. Są te same, co i romantyzmu angielskiego, niemieckiego, francuskiego. Zamiast o wpływie trzeba mówić o prądzie. Takie ujęcie zagadnienia nie dopuszcza sztucznego dualizmu racjonalistyczno-romantycznego. Młody Mickiewicz należy całkowicie do epoki Oświecenia. Trzeba jednak pamiętać, że w łonie Oświecenia pulsowały różne nurty i że na kształtowanie się etycznej i estetycznej myśli epoki duży wpływ wywarł ośrodek zmodyfikowanego racjonalistycznie plato-nizmu w Cambridge.

Kryteria czysto formalne lub czysto

„treściowe” (ideologiczne) doprowadziły do zupełnego zamieszania w zakresie charakterystyki periodyzacji prądów. Analiza społeczno-historyczna poglądów i roli Shaftesbury'ego każe go uważać za przedstawiciela Oświecenia. Takie też stanowisko wyznaczają mu historycy myśli filozoficznej. Historia literatury, badająca „autonomicznie” czyli abstrakcyjnie zjawiska literatury, mówiła o preromantyzmie, o wyprzedzaniu epoki przez Shaftesbury'ego. Było to złudzenie. Nie brano pod uwagę faktu, że gospodarczo - polityczny rozwój Anglii w dobie Shaftesbury'ego wyprzedził stosunki panujące na feudalnym kontynencie.

4.

Hobbes i Shaftesbury są synami dwu różnych epok. Hobbes głosił nieskrępowaną grę namiętności, przedstawiał anarchiczny i egoistyczny charakter ludzkiej działalności, bo to mu jako rojalista było potrzebne, do uzasadnienia absolutnej władzy monarchicznej. W jego nauce o państwie i moralności znalazły odbicie wewnętrzne stosunki Anglii a także zasady jej „kor-

sarskiej” polityki morskiej. Shaftesbury pisał dla epoki, w której zaczynający się rozwój handlu kolonialnego wymagał pokojowej działalności i harmonii wszystkich ogniw wytwórczości i wymiany towarowej. W deistycznym systemie nad porządkiem panującym w świecie czuwała Opatrzność. Jakby wynikało z uwag Staszica, który zresztą streszcza zasady liberalizmu gospodarczego fizjokratów, rozkwit handlu prowadzi do tego, że miejsce Opatrzności może zająć kupiec.

„Handel z swojej istoty do pokoju zamierza. On stan królestw wielu od losu kraju jednego zawisłym robi. On, jako druga Opatrzność, z wszystkich ludzi, z państw wszystkich, z człowieczeństwa całego towarzystwo jedno czyni. Ponieważ człowiek zły być nie może, tylko gdy się w obrabianiu swojego dobra myli, handel poprawi człowieka. Kupiectwo jest najłatwiejszym i podobno jedynym sposobem do ustanowienia w narodzie ludzkim takiego związku, w którym by człowiek oczywiście widział, że dobro osobiste nie różni się od powszechnego dobra — w którym by każdy, drugiemu szkodząc, szkodził jawnie sobie samemu — w którym by krzywda kraju jednego stawała się krzywdą państw wszystkich”. („Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego”).

Próba pogodzenia naturalistycznej teorii moralności i idealistycznej, mówiącej o wrodzonym człowiekowi zmysle moralnym, była angielska szkoła etyczna, zwana utilitarystyczną, według której egoizm jednostkowe służąc ogólniejszym celom stwarzają harmonię społeczną. Utilitaryzm miał różne odcienie i stał się na dzieśiątki lat doktryną panującą w etyce i naukach społecznych. Helvetius twierdził, że człowiek jest sprawiedliwy, kiedy wszystkie jego czynności zmierzają do dobra publicznego. Staszic uczył:

„Wszystko na tym świecie jest z sobą związane. Każdej rzeczy istotność terazniejsza stosować się musi do stworzeń przynajmniej. Człowiek sam na sobie przestać nie może. Wewnętrzna szczęśliwość jego od innych mniej od innych stworzeń zależy koniecznie”. Kojął uważał poświęcenie za cnotę najwyższą: „W niej miłość własna ustępuje przeważeniu miłości bliźniego lub społeczności całej; w niej przekładamy dobro ludzkiego rodu nad swoje własne”.

Spotykamy się z tymi zasadami w groń filomackim. Józef Jezowski przemawiał w ten sposób na posiedzeniu powszechnym, naukowym i administracyjnym Towarzystwa Filomatów:

„Wszystkie stworzenia na świecie żyją na użytek innych. Sam tylko człowiek wyłamał się spod prawa powszechnego i dla samego siebie wegetować umie. Lecz my w gronie naszym nie bądźmy podlejsi od kamienia i rośliny. Pomrzemy równie, jak sami egoiści. Ale ta będzie różnica, że lata nasze rzucane w koleje wieków, nie zarówno zaginą; że życie nasze w dzisiejszym użycie zamierze, stać się może na długi czas i dla wielkiej masy ludzi żywością do oddychania na ziemi również użyteczne”. Znajomości etyki utilitarystycznej dowodzą ogłoszone w „Twórczości” (1945) uwagi Mickiewicza nad rozprawką Małewskiego:

„Zgadzą się dalej z filozofami angielskimi, że nie jeden egoizm, czyli własny interes, jest sprężyną wszystkich czynności moralnych, ale zgadzają się nie dlatego, że teoria angielska ludzką naturę bardziej uświelta — nie idzie tu bowiem o pochlebianie ludziom, ale tylko o znalezienie prawdy. Następnie nie rozumieniem zgola podziału namiętności na interesowne, czyli do własnego dobra ściągające się i na dobrocętne, to jest mające na celu szczęście całego rodu ludzkiego... Mnie się zdaje, że każda namiętność, kierowana rozumem, obadwa te skutki sprawić może. Bardzo się zgadzam z moim sposobem widzenia teorii Juma (Hume), który nie dzieląc namiętności, chwali tylko lub nagania każdy postępek stosownie do pożytku lub szkody, jaka z niego wypływnie; a stąd, porzuciwszy ogólny wyraz cnoty, można byłoby dać definicję postępkowi cnotliwego. I tak, według mnie, postępki kierowany rozumem, który ma na celu pożytek i który ciągnie za sobą pożytek, taki postępki mianuję cnotliwym”.

Teorie znane z moralnych dzieł Shaftesbury'ego, Hutchesona, Reida, Clarka, Bolbroka popularyzowali poeci. Naukę o harmonii panującej w przyrodzie i obowiązku uczenia się od natury zasad moralnych głosił Aleksander Pope w poczynnym poemacie dydaktycznym „Essay on man”. Spotykamy w nim znane nam z „Ody do młodości” myśli i symbole: chaos, w którym światło nie rozdzieliło się jeszcze od ciemności, łańcuch miłości, wiążący wszystkie stworzenia, wspieranie się wzajemnie i pomoc, zasadę dobra powszechnego, a na-

## ROMAN ZRĘBOWICZ

## B Y R O N

MINEŁA właśnie 125 rocznica śmierci jednego z największych i najoryginalniejszych poetów angielskich, Jerzego Byrona. Na firmamencie literackim Europy, w zaraniu XIX w. był Byron, obok Napoleona, najwspanialszym meteorem, który zapłodnił nie tylko wszystkich niemal poetów romantycznych, ale także niemały wywarł wpływ na późniejszych pisarzy tej miary, co Karol Baudelaire, Artur Rimbaud czy Oskar Wilde. Nawet tak znamienity okres pesymizmu drugiej połowy XIX w. w literaturze angielskiej, jaki powstał na skutek słynnego przekładu Fitzgeralda z Omara Khayama, niektórzy krytycy przypisują dynamizmowi Byrona.

Sława Byrona mieniła się wszelkimi barwami. Uważano go przede wszystkim za kapitalny symbol zbuntowanego anioła. Był na ustach salonów europejskich. Był bożyszczem kobiet i młodzieży konspiracyjnej przeciwko ówczesnym prądom reakcyjnym. Był mistrzem różnych sportów — a więc był pierwszorzędnym strzelcem, znakomitym bokserem, nieustraszonym alpinistą, który wraz z naszym Malczewskim, autorem „Marii”, wdarł się, jeden z pierwszych, na szczyt Mont Blanc. Jego przepłynięcie przez morską cieśninę dardaneelską w ciągu godziny i 10 minut należy w historii sportu pływackiego do najwspanialszych na tym polu wyczynów.

Utworzono do dziś dnia pokutujący wyraz „bajronizm”, którym określano stany rozczarowań, melancholii, depresji samobójczej i tzw. „weltschmerzu”. Nawet wszelką postawę antyspołeczną i antyreligijną nazywano fałszywie i przesadnie „bajronizmem”. A tymczasem Byron był jednym z pierwszych, który odważył się, wbrew opinii purytańskiej, wystąpić przeciwko przesadom, zakłamaniam i niesprawiedliwościom socjalnym własnego społeczeństwa.

Gdy w hrabstwie Nottingham wybuchły strajki i rząd angielski przystąpił do policyjnego ich zdławienia, Byron jako członek Izby lordów wysłał natychmiast następującą depezę: „Odsyłam raport dotyczący wypadków w Nottingham, mój pogląd na tę sprawę różni się zasadniczo. Usprawiedliwiam zbuntowanych i staje w ich obronie. Klasa robotnicza jest bardzo upośledzona, jeden człowiek przez mechaniczne środki zastępuje siedmiu, a resztę pozbawia się pracy; oczywiście, należy się cieszyć z postępu maszyn, ale nie godzi się, aby doskonałość maszyn okupywać degradacją człowieka”. Pierwsze słowa Byrona w parlamencie angielskim brzmiały: „nie poświęcajcie człowieka dla machinacji i machin!” — a ostatnie w Grecji: „nie poświęcajcie narodu dla rutyny!” To znowu kiedy indziej Byron przemawiając z trybuny parlamentarnej do zebranych lordów, miał odważyć rzucić im w twarz te pamiętne słowa: „Dobrobyt czy nędza całego narodu, jego rozwój czy upadek — wszystko to dla was nie ma żadnego znaczenia. Dla was istnieje tylko hasło: Renty! Renty! Renty!”

Oczywiście, tego rodzaju ataki lorda Byrona spokrewnionego z najwyższą arystokracją angielską musiały wywołać



Byron

gwałtowną opozycję. A gdy dodamy do tych wystąpień demokratycznych ekscentryczny tryb życia poety, prowokujący moralność oficjalną, gdy uwzględnimy ponadto cięty artykuł Byrona p. n. „Bardowie angielscy i krytycy szkocy”, gdy wreszcie przypomnimy skandaliczne ze strony żony zerwanie, to nie dziw, że opinia publiczna ruszyła zwartym frontem do kontrataku. Zamknięto przed poetą salony i parlament, narzucono mu rozwód z żoną, zabrano mu ukochaną córeczkę, poduszono nawet gawiedź uliczną — słowem, wyjęto go spod prawa.

Zrozpaczony Byron w 1816 r. po raz drugi i ostatni opuszcza Anglię, by już nigdy do niej nie wrócić. Zaczyna się bezustanna tułaczka poety. Byron szuka wytchnienia w zacisznej Szwajcarii nad jeziorem Lemanskim. Ale i tu podrażcają mu dzienniki angielskie obrażające go stekiem obelg i plotek najohydniejszych. Mimo tych ciężkich przeżyć, Byron nie załamuje się. Piszże wówczas swoje kapitalne utwory, jak „Manfred” i „Kain”. Nieugięta duma i skrajny pesymizm są głównymi motywami obu tych poematów.

„Błądzić po całym świecie, jak wyrzutek, w ubiegłe patrzeć fale coraz skorsze: to moja dola, a słodzi jej smutek myśl, że wycierpiał już to co najgorsze. Lecz co najgorszym? Nie dbaj o to wcale, nie wglądaj w oko, by tobie odrzekło, ilu łez próżne... Czaruj, ideale, ale mi nie patrzaj w serce: tam jest piekło”. Oto wiersz odtwarzający wiernie ówczesny stan psychiczny poety.

Ziomkowie jednak nie dają mu spokoju. Liczni turyści angielscy intrują ustawicznie, zniewalają Byrona do opuszczenia Szwajcarii. Poeta przenosi się do Włoch i osiada na dłuższy czas w Wenecji. I tu również kolonia angielska zatruwa mu życie. Patrycjusz weneccy goszczący w swoich salonach międzynarodową arystokrację, zaprasza oczywiście i słynnego w całej Europie Byrona. Wszyscy jednak Angliki na widok poety wynoszą się ostentacyjnie z rodzinami.

Ale teraz wroga postawa ziomków, zamiast Byrona przygnębić, pobudza go tym bardziej do walki, obejmującej coraz szerszy widnokrąg. Poeta zaczyna ponownie prowokować opinię angielską. Zmienia przede wszystkim swój pogląd na Napoleona. W dalszych pieśniach Child

Harolda wyraża podziw dla genialnego więźnia na wyspie św. Heleny. „Na to — pisze Byron ludy zmiotły obrzymia, by je ujarzmiła lada miernota na tronie?”

W tym czasie, jak wiadomo, zorganizowana przez Metternicha Liga tzw. „świętego przymierza”, czyli związek trzech mocarstw europejskich rozpoczyna swój terror absolutystyczny. Szaleje najskrajniejsza reakcja. Metternich urzęduje w Karlsbadzie, Lublanie i Weronie zjadły monarchistów, mające na celu dławienie wszelkich ruchów wolnościowych. W odpowiedzi na terror reakcjonistów młodzież tłumnie wstępuje do ówczesnego ruchu oporu. Byron, fanatyczny czciciel wolności nawiązuje ścisłe stosunki z konspiracyją włoską, tzw. karbonariuszami. Zasila ich własnymi funduszami, oddaje na ich usługi swoje genialne pióro. I tak np. „Lige świętego przymierza” nazwał Byron ziemską trójcą, określając ją jako związek trzech błaznów chcących się przetopić w jednego Napoleona.

Oczywiście, tego rodzaju postawa poety wobec szalejącej reakcji ściąga nań czujne oko policji. Agenci austriaccy zaczynają mu deptać po piętach. Byron jest zmuszony zmieniać ciągle miejsce pobytu: z Wenecji do Rawenny, z Rawenny do Florencji, z Florencji do Pizy, z Pizy do Genui itd.

Równocześnie awanturnicze życie poety odbija się skandalicznym echem w Anglii i uderza powrotnie drażniącym bumerangiem. Wobec tego Byron przystępuje do wściekłego generalnego odwetu. Piszże słynny poemat pt. „Don Juan”, w którym niepomahowanym biczem satyry i ironii chłoszcze wrogie sobie osobistości zdzierając z nich maskę obłudy i kłamstwa, wyszydza bezlitośnie najgłośniejszych obywateli Anglii, jak reakcyjnego ministra Castlereagha, Willbefeke'a, a nawet nieżyłkowego Wellingtona.

Nie też dziwnego, że „Don Juan” rozpętał w Anglii nie dające się opisać oburzenia, które w ostatecznej konsekwencji skazało autora na bezterminową, moralną banicję, trwającą uprzywilejowanie do chwili obecnej. Dość wspomnieć, że w kaplicy westminsterskiej spoczywają wszyscy najczyniejsi pisarze angielscy, z wyjątkiem najwybitniejszego poety Wielkiej Brytanii, Jerzego Byrona.

Zbliża się finał życia genialnego pisarza. Wybucho powstanie w Grecji. Byron, wielki chorąży wolności, spieniężywszy cały swój majątek, wyrusza na pomoc odradzającej się Hellady i bierze czynny udział w walce o niepodległość Grecji. A udział ten nie ma bynajmniej charakteru „ulana-rębacza”, jak to się wówczas na porządku dziennym zdarzało. Ale przeciwnie Byron zabiegał o sprawy najtrudniejsze: własnym kosztem zaopatruje biednych powstańców greckich w obuwie, żywność i środki sanitarne, organizuje armię, wypłaca żołd z osobistej szkatuły, godzi zwaśnione stronnictwa i koterie wojskowe — aż wreszcie wyczerpany pracą, troskami i malarią, składa swój młodzieńczy żywot na ołtarzu wyzwolającej się Grecji.

Roman Zrębowski



wet „płaza w skorupie“, żeglarka nautylusa. W wierszu Thomsona o „Nędzach ludzkich“ czytamy:

I poznały tę prawdę, co nam życie  
słodzi,  
Że człowiek w szczęściu drugich swe  
szczęście znalazł.  
Tę samą prawdę głoszą wiersze ma-  
sońskie. Oto zakończenie „Prawdziwej  
wesołości“ Kazimierza Brodzińskiego:

Bracia, czyste wszystkich cele  
Wzajemna miłość i troski  
I ten napój przy nich boski  
Niech wzniosą czyste wesela.  
Niem godnie uczcijmy brata,  
Co w podróży tego świata  
Miłością bliźnich ujęty  
Mularstwa wspiera cel święty.

Nazkicowane tutaj tło filozoficzne —  
moralne i historyczno - literackie tłumaczy  
pojawienie się w epoce licznych utworów  
poświęconych przyjaźni. Wzorem  
stoików ludzie Oświecenia wyżej stawiają  
przyjaźń nad miłość. Przyjaźń jest wykład-  
nikiem solidaryzmu. Józef Szymanowski  
w wierszu „Dla przyjaźni“ zapewniał, że  
to uczucie

Każdej rozkoszy pomnaża użycie  
W wspólnym uczuciu słodkie dwojg  
życie.

Antoni Górecki w wierszu „Do przyjaź-  
ni“ stawia jej wysokie zadania:

Ty się nie zwiedzisz urodą  
Ani bogactw blaskiem marnym;  
Cnotliwych jesteś nagrodą  
I nie mieszkasz w sercu czarnym.  
Bóg co w łaskach moc położył  
I milczy choć gromem władą  
Widząc, że cnota upada,  
Na pomoc jej ciebie stworzył.

Miłość to interesowność, to egoizm.  
Przyjaźń to solidaryzm i braterstwo. Mi-  
łość to niepokój, burze, szaf. Przyjaźń to  
spokój, rozsądek i ład. Dlatego ówczesni  
rymopisi odziewają się do miłosnych  
upojeń i zwracają „Do przyjaźni“:

Przez swe spokojne i trwałe rozkosze  
Zrób jeśli można tamtych zapomnienie.

5

Niemniejszą karierę zrobiła nauka o  
entuzjazmie. Znajdujemy jej ślady w  
osiemnastowiecznych wywodach o twór-  
czej roli namietności, o natchnieniu, ge-  
niuszu i bohaterstwie. Helvétius wygło-  
sił podniosłą odę na cześć wielkich na-  
mietności. Tylko silne namietności mogą  
dokonać największych dzieł, zwalczyć  
niebezpieczeństwa, ból, śmierć i samo-  
niebo. Tylko namietności, dzięki skupie-  
niu uwagi na przedmiocie pragnień, po-  
zwalają bohaterom dokonać tych zuchwa-  
łych przedsięwzięć, które do czasu, dopó-  
ki powodzenie nie przyniosło im słusz-  
ności, wydawały się szalone i musiały  
realnie wydawać się takimi wielu lu-  
dziom. Człowiek rozsądny nie jest zdol-  
ny do wydobycia z siebie tej energii du-  
cha, która wielkim ludziom pozwala wy-  
naleźć środki do poruszenia świata i rzu-  
cić we współczesność nasiona przyszłych  
wydarzeń. Księga przyszłości otwiera się  
tylko przed człowiekiem ogarniętym na-  
mietnością i chciwym sławy. („De l'esprit  
Discours III“). Holbach nazywał entuzjaz-  
mem tak silne zapalenie się do jakiejś  
rzeczy, że człowiek nie widzi niczego poza  
nią, dochodzi do pewnego szalu, który  
sprawia, że poświęcamy uniłowanemu  
celowi wszystko, nawet siebie samych.  
Przyznawał też, że potrzeba entuzjazmu  
zarówno do wielkich cnót jak do wielkich  
zbrodni. Entuzjazm wprawi nasz mózg albo  
naszego ducha w stan podobny do szalu;  
jeden i drugi pobudzają nas do gwałtow-  
nych działań, które ludzie przyjmują z  
uznaniem, kiedy wynika z nich jakieś do-  
bro, a które nazywają szaleństwem, zbrod-  
nią, albo furją, kiedy naruszają panujący  
porządek. („La morale universelle“ i „Système  
de la nature“).

A. K. Czartoryski powtórzył te myśli w  
uwagach o geniuszu:

„Geniusz różni się bardzo od dowcipu.  
Dowcip iskry, Geniusz zaś promień wy-  
daje, który większy okrąg oświetla. Dow-  
cip do pojmovania rzeczy wynalezionych  
nam pomaga, Geniusz zaś nowe wynaj-  
duje. Jest to tworzące natchnienie, które  
wielkich ludzi w każdym gatunku prowa-  
dzi. Często zrywa ich z toru zwyczajne-  
go, uprząta wszystkie przeszkody, uprze-  
dzenia najlubiejsze wywraca, drze się  
przez nie do prawdy, szukając i szybkim  
poskokiem pedzi tych ludzi wybranych  
do mety“. (Przedmowa do „Panny na wy-  
daniu“).

Pomostem, który nas wiedzie bezpo-  
średnio do „Ody do młodości“ jest frag-

ment dzieła F. Ancillona ogłoszony w  
„Dzienniku Wileńskim“ (1817) pt. „O wiel-  
kości charakterów“. Przytaczam parę  
ustępów z tej ciekawej rozprawy.

„Ktokolwiek umie pogardzać tym, cze-  
go się wielu leką, ktokolwiek stał się ob-  
cym względem tego wszystkiego, co się  
tyczy jego osoby i poświęca się całkiem  
wielkiemu przedmiotowi jakiegokolwiek  
natury byłby ten przedmiot, taki jest  
prawdziwym bohaterem. Same tylko wy-  
obrażenia mogą być przedmiotami podob-  
nego poświęcenia się... tymi wyobrażen-  
iami są Bóg albo religia, prawda albo  
umiejętność, piękność lub sztuka, uczci-  
wość lub cnota, szczęście ogólne albo ludz-  
kość, wolność i potęga narodowa czyli  
ojczyzna.“

Powtarza autor, że „wielkość charak-  
teru z dwóch składa się zasad, z energii  
woli i z panowania wyobrażeń nad wolą;  
ona przypuszcza moc i wyniesienie duszy“.

Warunkiem bohaterstwa jest młodość fi-  
zyczna (człowieka lub narodu) i młodość  
duchowa, czyli stan, w którym nad rozu-  
mem panuje „czułość, uczuciowość głębo-  
ka, imaginacja żywa“. Takimi cechami  
odznaczają się „wieki młodości“ ludz-  
kości (Grecja, Rzym). Mamy tutaj przy-  
kład „organicznego“ ujmowania dziejów,  
znany z Winckelmana i Herdera.

„Wówczas rozum jest dosyć oświecony  
dla zdania sobie samemu sprawy ze  
swoich działań i dla odrzucenia wszel-  
kiej sprzeczności; ale on nie odsu-  
wa i nie zaprzecza rzeczom niewytłuma-  
czonym i czuje, że dla ogarnienia czego-  
kolwiek trzeba zacząć od przypuszczenia  
rzeczy niepojętej; nie błąka się w próż-  
nych subtelnosciach, chwytając wielkie ry-  
sy; przywiązuje się do ogółów, przylega  
z mocą do małej liczby zasad i oddaje się  
z ufnością wyobrażeniom religii, prawdy,  
ojczyzny. Wtedy uczucie jest głównym

punktem oparcia człowieka i razem kie-  
rującą nim gwiazdą; uczucie jest środ-  
kiem działalności duszy; dlań wszystkie  
inne władze pracują, a ono je nawzajem  
utrzymuje i użyźnia wszystkie. Rozum,  
zasługujący tym bardziej na to imię, kie-  
dy poznaje inne dowody, inne środki, in-  
ne sprężyny, aniżeli rozumowania, rozum  
sam przyzywa na pomoc czułość i przeno-  
si ją nad umysł, który odłącza, rozróżnia  
i rozkłada; wtenczas, kiedy uczucie pro-  
wadzi do jednego ogniska rozrzucone pro-  
mienie i z nich utwarza pierwiastek cie-  
pła i życia. Umysł określa i opisuje wszy-  
stkie przedmioty; sam działa w sferze  
ograniczonej; uczucie ma coś nieskończo-  
nego w swym tajemniczym przyrodzeniu  
i pociąga dusze ku wszystkiemu co idea-  
alne“.

Wacław Kubacki

(Dokończenie w numerze następnym)

PABLO NERUDA

## ŚPIEW O STALINGRADZIE

Śpi oracz w nocy czarnej, zbudzi się, zanurzy  
złota dłoń w ciemności pytając jutrenki:  
O światło dnia, co wschodzi, ty świecie poranny,  
powiedz, czy miasto jeszcze powierza swój honor  
najczystszej dłoni mężów. O jutrenko, powiedz,  
czy ołów wciąż moc wściekła o czoło twe łamie,  
czy mąż jest tam, gdzie stał, czy grom jest tam, gdzie grzmiał.  
Mów, boga oracz, mów, czy ziemia nadśluchuje,  
jak spływa krew czerwona krwawych bohaterów  
do nieskończonych brzd szarzałej nocy ziemskiej.  
Mów, czy nad drzewem sterczy już nieboskonk nagł,  
czy proch wybucha ciągle jeszcze w Stalingradzie.

A wśród odmętów morza marynarz wzrok wpiera  
szukając w konstelacjach zamglonych jedynie  
czerwonej swojej gwiazdy, skler miasta, co płonie.  
I w sercu swym znajduje tę gwiazdę, co pali,  
tę gwiazdę dumy tak by bardzo chciał uściskać,  
tę gwiazdę płaczu w duchu sobie wyobraża.  
O gwiazdo ma czerwona, szepeć z oceanem,  
słucham żar, o miasto moje, pilnuj bram swych twardo,  
broń, miasto me, wawrzynu swego skrawionego,  
niech noc drży rozmiotana błyskawicę wybuchem  
z czerwonych oczu twych z planetami mieców.

I Hiszpan ci z Madrytu mówi: siostrze, siostrze!  
Trwaj tylko jeszcze, trwaj, ty, metropolio sławy!  
Z hiszpańskiej ziemi krew przelana się podnosi  
i znów burzy się w Hiszpanii zaprzedanej.  
Przy śołanie egzekucyj Hiszpan pyta w duchu:  
czy bój grmi w Stalingradzie, czy miasto wciąż żyje.  
I w każdym łosiu więzieniu łańcuch czarnych oczu,  
oczu, co tym imieniem mury przepalają.  
I drży Hiszpania cała od twóich poległych.  
Wszak tyś jej duszę swoją dawał, Stalingradzie,  
kiedy rzeki rozdziała, jak ty je dziś rozdziś.

Hiszpania dobrze zna ten ciężar samotności,  
który ty dziś poznasz, plonąca, Stalingradzie.  
Hiszpania ryla grunt krwawymi pazurami,  
kiedy Paryż, kokietka, kapryśnie się bawił.  
Hiszpania krew toczyła z głębokości łona,  
kiedy Londyn wciąż czekał pielęgnując sobie  
jeziorko z labedziami i zielony trawnik.  
Ty dziś to także znasz, uparta panno, Rusi,  
dziś także znasz okrutny chłód osamotnienia.  
Gdy tysiące pocisków bije w twoje serce,  
gdy jadłowity skorpion żąda mordu zięgie  
do trzewi twych siega, aby kłuc się, Stalingradzie,  
New York stałec w tańcu. Londyn medytuje.  
A ja powiadam: podłość! Me serce nie dźwignie  
większej już troski. Nie mogą znieść serca.  
Nie starczy tchu już pierśiom w tym nieludzkim świecie,  
co pozwala umierać bohaterom samym.  
Upadnie?

Ale wtedy cios i was dosięgnie.

Upadnie?

Czyli chcecie, aby życie tylko  
walło się do grobu, aby uśmiech mężów  
latryna starla kałem, zmasała kalwarją?  
Cóż odpowiecie na to? Czyż nie dość wam trupów?

Czyż pragniecie ich więcej na tym wschodnim froncie,  
by wam niebiosy wasze chłodne przesłoniły?  
Lecz nie zostanie nic prócz piekła grozy dla was  
Świat już znużyło śmieszne bohaterstwo wasze,  
zwycięstwo sprzymierzeńców na Madagaskarze,  
co w proch walcenie starli złotych małp sześćdziesiąt.  
Świat już znużyły starce obrady, na których  
mąż stanu z parasolem jeszcze przewodniczy.

Ach, czemuż nie możemy, mężny Stalingradzie,  
pośpieszyć do twych murów, czemuś dal nas dzieli?  
My tu, Meksykańczycy, myśmy tu, Indianie,  
myśmy tu Chilijczycy, i my z Urugwaju,  
dążący do was wiernie, a są nas miliony.

Jesteśmy tu zbratani na dole, niedole,  
lecz jeszcze przyśię do bram twych nie możemy, matko,  
Trwaj, o ziemio plonąca, trwaj w boju do chwili,  
gdy przyjdziemy do ciebie z rozbitych okrętów  
przytknąć wargi do murów twóich nieśmiertelnych  
jak dzieci, które nigdy ufać nie przestały.

Na drugi front czekamy teraz, Stalingradzie.  
Lecz ty nie padniesz, miasto, choć cie ogień zżera  
i rżawy ołów nocą i dnem w tobie ryje.

A gdybyś nawet zginął, nie umrzesz przenigdy,  
gdyż mężowie się twoi stali nieśmiertelni,  
wciąż muszą walczyć tam, gdzie żniwem są śmierci,  
póki twa pięść zwycięstwem wreszcie nie okrzepnie.  
A gdy twa dłoń zmęczona już jest długim skurczem,  
są jeszcze innych ręce, czerwonych czerwone,  
które proch bohaterów rozsieją po świecie,  
by w każdej ziemi kielki puściło twe ziarno.

Przełożył K. A. JAWORSKI

## PIEŚŃ O BOLIWARZE

Ojciec nasz, który jesteś w ziemi,  
w wodzie i w powietrzu  
naszych niezmiernych milczących przestworów,  
wszystko nosi twe imię, ojciec, w naszej siedzibie,  
nazwisko twoje trzcina cukrowa napłina ku słodyczy,  
cynowy boliwar ma połysk boliwara,  
ptak boliwar jest na wulkanie boliwar,  
kartofle, żyły fosforyzujących kamieni,  
wszelkie nasze dobro wynika z twego zgasłego życia.  
Twe dziedzictwo to rzeki, równiny, dzwonnice,  
twe dziedzictwo jest naszym chlebem powszednim.

Twój nikły trup dzielnego dowódcy  
rozciągnął w nieskończoność swe metaliczne piętno.  
Nagle palce jakiegoś, twoje, wylaniają się z śniegów  
i rybak mórz południowych wyciąga na światło dzienne  
twój uśmiech, twój głos dygocący w śleci.

— Jaki jest kolor róży, którą składamy twej duszy?  
Czerwona winna być róża, co przypomina twój krok.  
— Jakie będą ręce, które dotkną twych prochów?  
Czerwone będą ręce, co zrodzą się z twych prochów.  
— A jakie jest nasienie twego zmarłego serca?  
Czerwone jest nasienie twego serca żywego.

Oto dlaczego, dzisiaj, ten korowód rak wokół ciebie,  
Obok mej ręki, jest inna, obok tej znów inna,  
i jeszcze jedna, aż do ostepów ciemnego ładu.  
I nowa ręka, której wówczas nie znałeś,  
zjawia się, Boliwarze, by uściskać twój.  
Z Teruelu, z Madrytu, znad Jaramy, znad Ebra,  
z więzienia, z grobów poległych za Hiszpanię  
przybywa ta czerwona ręka, która jest córką twojej ręki.

Dowódczo, wojujący tam gdzie usta  
wolały Wolności, gdzie ucho nasłuchuje,  
gdzie żołnierz czerwony szary front przerywa,  
gdzie tryska laur niepodległości, gdzie nowy  
sztyndar zdobi się krwią naszej walnej jutrzni,  
Boliwarze, dowódczo, widzimy twój twarz  
raz jeszcze wśród prochu i dymu, twa szpada jes-  
w trakcie narodzin.

Niegodźziwi od nowa atakują twe ziarno:  
rozpięty na innym krzyżu jest syn człowieczy.

Lecz do samej nadziei twój cień nas prowadzi:  
wawrzyn i światło armii czerwonej  
skroś noc amerykańską patrzaj twoim wzrokiem.  
To twoje oczy czujnie sięgają poza morza,  
poza ludy ciemnione i krwawiące,  
poza czarne miasta plonące,  
twój głos się odradza, twa ręka zmartwychwstaje.  
Twoja armia broni świętych sztandarów  
i przerażający rumor boleści poprzedza  
jutrenkę czerwona od krwi człowieczej.  
Wyzwoliciele, świat pokoju powstał w twych ramionach.  
Pokój, chleb, zboże z twej krwi się zrodziły:  
z naszej młodej krwi, co wyszła z twojej krwi,  
wyloni się pokój, chleb, zboże dla świata, który zrobimy.

Poznałem Boliwara pewnego dłuższego rana  
w Madrycie, u progu Piątego Pułku.  
— Ojciec — rzekłem — jesteś czy nie jesteś, kim jesteś?  
I patrząc na dzielnicę Góry odparł:  
— Budzę się co wiek, gdyż budzi się lud.

Przełożył STANISŁAW BRUCZ



STANISŁAW KOWALEWSKI

## W A L K A

KIEDY przyjechałem po raz pierwszy do W., trafiłem na złą pogodę. Rzęsisty deszcz padał nieprzerwanie. Dworzec był zatłoczony, na ławach rozstawionych wzdłuż korytarzy obozowały rzesze oczekujących ludzi. Kobiety z koszmami lub walizkami, drzemający mężczyźni w skórzanych czy płóciennych kurtkach. Pachniało charakterystyczną wonią dworców, machorką i kwaśnym odorem potu. Dziobata baba z szuflą i szcztoką sprzątała śmiecie, a potem spryskiwała kafelkową posadzkę wodą z konwi.

Chodziłem między ludźmi, zaczęliem kolejarzy.

„Gdzie jest fabryka Birema?”  
W odpowiedzi wruszyli niechętnie ramionami. Nie wiedzieli. Zapytany milicjant oznajmił, że jest tu dopiero od paru dni i nie zna jeszcze miasta. Skierował mnie do paniąki sprzedającej w kiosku gazety, ale paniąka też nie wiedziała.

Zatrzymałem się chwilę w drzwiach dworca. Deszcz wzbierał na sile, z nieba chłostały całe potoki niebieskawej zadmionej barwy.

Akurat zajechała przed dworzec dorożka z pasażerami. Dorożkarz owinięty w ceratową pelerynę pomagał wyciągać spod budy walizki. Z czarnej, zmoczonej sierści konia były mleczne kłęby pary.

Zdecydowałem się momentalnie. Kiedy pasażerowie opuścili dorożkę — wskoczyłem na ich miejsce, nie pytając o nic dorożkarza. Zdziwiony zjrzął do mnie pod budę.

— To jedziemy? — zagadnął.

— Jedziemy. Do fabryki Birema.

— Fabryka Birema... Fabryka Birema... — powtarzał niepewnie.

Patrzyłem na asfalt. Wielkie krople deszczu odbijały się od niego, jak piłki. Nagle dorożkarz krzyknął coś do konia i poderwał lejce. Ruszyliśmy.

Fabryka nie była daleko od dworca. Kawałek, który musiałem przebiec od dorożki do budki portiera, wystarczył, by przemoczyć mnie gruntownie. Deszcz uniemożliwiał obserwację całości obiektu. Jak przez gęstą muślinową firankę widziałem niskie, parterowe budynki. Gdzieś dalej za nimi wybił się wysoki smukły komin z popielatej cegły.

Do dyrektora — to tam. Zgarbiony portier wskazywał mi jeden z budynków. Puściliśmy się znowu na przelaj przez podwórze.

Idąc przez długi korytarz miniałem paru zaferowanych mężczyzn w drelichowych fartuchach. Jednego zaczepiłem, pokazał mi żółte drzwi.

Sekretarka, młoda dziewczyna z długimi jasnymi warkoczami, wstała z nad wielkiej maszyny. Na nogach miała czarne buty z cholewami. Kazała mi zaczekać.

Zdjąłem ociekający wodą płaszcz i powiesiłem na drzwiach. Rozglądałem się po pokoju. Weszło dwóch młodych ludzi w lekarskich fartuchach. Rozmawiali głośno, nie zwracając na mnie uwagi.

Po chwili wróciła sekretarka. Dyrektor mnie prosił.

Trudno mi teraz trafnie opisać moje pierwsze wrażenia. Nasze poznanie z Olchą wykraczało całkowicie poza szablony tego rodzaju spotkań.

Więc przede wszystkim sam dyrektorski gabinet. Zwykle krzesła, żółte biurko, drewniany fotel — to było wręcz zastawione tutaj na Zachodzie, gdzie wciąż jeszcze powiewały się wspaniałe fotele i kanapy, mahoniowe i palisandrowe biurka, potężne i oniesmielające jak ołtarze. Pompa i sygnalizatory, które tak często tutaj spotykałem, nie miały dostępu do gabinetu Olchy.

Na takim tle zobaczyłem po raz pierwszy tego dziwnego człowieka. Był średniego wzrostu. Uczulem mocny ucisk jego twardych, sekających palców na swej dłoni.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie, odgroźdzeni gładkim blatem biurka.

Powiedziałem mu lakonicznie o sobie i o celu przyjazdu do Biremy.

Potem mówił on. Padały cyfry i nazwy, spotykane tylko w terminologii fachowej.

Zapoznawał mnie pokrótce z historią swojej placówki. Fabryka została zorganizowana całkowicie przez Polaków. Znalezione w kilku miejscach szcztaki nie-mieckich zakładów chemicznych i farmaceutycznych. Maszyny wyreperowano, rozpoczęto montaż. W ciągu pierwszego roku po wyzwoleniu fabryka mogła być oddana do użytku.

Czasem przerywałem mu krótkim pytaniem.

Stan zatrudnienia? 136 fizycznych i 60 umysłowych, z tego 12 wysoko wykwalifikowanych inżynierów i doktorów chemii.

Co pewien czas wchodził do gabinetu ludzie. Jedni w fartuchach i kombinazonach, inni w zwykłych ubraniach. Olchą tytułowali wszyscy „magistrem”. Zapytałem go, czemu unika tytułu dyrektorskiego.

— Ano, za dużo tu wszędzie dyrektorów. Nie lubię tego. Jeśli ludziom jest koniecznie potrzebny jakiś dodatek, niechże mówią po prostu „magistrze”.

Przysłuchiwałem się krótkim rozmowom, jakie prowadził ze współpracownikami. Przedstawił mi paru przybyłym, padały nazwiska, które w pierwszej chwili trudno mi było zapamiętać.

Kierownicy działów przewijali się kolejno przez gabinet. Terkotał telefon.

W pewnej chwili Olcha wyciągnął z szuflady biurka wielki karton.

— Tu jest wszystko, cała nasza działalność.

Pokazywał mi kolumny cyfr i podziałki wypełnione nazwami preparatów produkowanych przez Biremę.

Padaly coraz nowe nazwy. Niektóre skrętnie notowałem na papierze obok cyfr wyrażających rosnącą z roku na rok produkcję.

Potem wyciągnął inne papiery. Była mowa o awansie społecznym, o ludziach, którzy na terenie Biremy odbyli drogę od prostych pracowników fizycznych do kierowników samodzielnych działów.

— Nasza załoga to ludzie pewni. Dobierali się sami długo i dziś cały ten zespół to aparat sprawnie funkcjonujący. Specjów-inżynierów, doktorów — tych było mi bardzo trudno zdobyć. A jednak są, mam ich. I widzi pan, istnieje u nas nawet swoisty patriotyzm. Jesteśmy dumni z naszej Biremy. Każdy z nas włożył tu tyle własnego zapału i pracy, że teraz niełatwo byłoby stąd odejść.

Zadrżały lekko szyby gabinetu.

— To syrena. Obiad. Zapraszam pana na nasz obiad do stołówki.

Wysiliśmy na korytarz, potem przed budynek. Deszcz wciąż padał. Wtedy puściliśmy się pędem przez podwórze, rozchlapując wodę z kałuż.

Stołówka znajdowała się w niskiej, dużej sali. Przy stołach zastalibyśmy liczne grono siedzących. Łyzki i widelce szczerkały o talerze. Co chwila słyszałem wybuchy śmiechu. Ludzie siedzący przy różnych stołach nawoływali się głośno. Zwróciła moją uwagę spora liczba kobiet i dziewcząt, a kiedy rozejrzałem się uważniej po sali, stwierdziłem ogromną przewagę ilościową młodzieży.

Przy jednym ze stołów było parę wolnych miejsc. Olcha wskazał mi krzesło. Usiedliśmy.

— No, i ma pan przed sobą moich ludzi. Co prawda, to tylko jedna zmiana. Druga je obiad o pół godziny później.

— Jestem zdumiony. Ma pan u siebie tylu młodych.

— Ja sam mam 36 lat. To już tak u nas jest. Młodzi ciągną do młodych. Poza tym fabryka farmaceutyczna, młodzież się tym interesuje. Chcą u mnie pracować.

Do naszego stołu podszedł wysoki blondyn, ubrany w szary garnitur.

— Inżynier Jaskólski — przedstawił go Olcha.

Inżynier przysiadł się do nas. Po chwili Olcha przedstawił mi niskiego mężczyznę o dużych, prawie czarnych oczach.

— Doktor Malewicz.

Malewicz usiadł w pobliżu. Zainteresowały mnie jego oczy, dziwne obojętne i nieruchome. Dopiero po chwili spostrzegłem, że powieki Malewicza nie przysyngają się ani na chwilę. Był bardzo bladą, przezroczystą bladocią ludzi chorych na serce. Krucze, lśniące włosy miał gładko przeczesane. Nie odzywał się, jadł powoli. Był cały nasycony jakąś dziwną powagą czy obojętnością.

— Malewicz, czy wieczorem będziesz na zebraniu? — spytał Olcha.

— Będzie.

— Panie magistrze, proszę artykuł.

Za naszymi plecami stanął młody chłopak w drelichowym kombinzonie.

— To nasz referent socjalny, Buzek. Poznajcie się panowie.

Olcha wziął z rąk Buzka parę gęsto zapisanych kartek.

Buzek miał duży zadarty nos pokryty czarnymi centkami węgry, małe świdrowate oczy koloru szarego, przypominające trochę oczy jakiegoś ptaka.

— Bracie — zaczął Olcha, tasując szybko kartki — wy zawsze całą rozprawę piszecie, referat jakiś, czy co. Do gazetki ściennej tak nie można. O, taka jedna kartka z tego musi zostać i na niej ma być wszystko powiedziane tak, żeby każdy zrozumiał. I żeby nikt się nie nudził. Wiecie sami. Skróćcie to, a szybko.

Buzek cały czas patrzył swymi świdrowatymi, małymi oczkami na Olchę. Mruknął coś pod nosem i wziął z powrotem z rąk dyrektora zapisane kartki.

— Trudno tak, żeby krótko, a wszystko zmieścić.

— Trudno? To i dobrze. A wy byście chcieli, żeby tak wszystko wam zaraz jak z płatka...

Na twarz referenta socjalnego zwołna zaczęły napływać rumieńce. Obrócił się i odszedł.

— To doskonały materiał. Z tego chłopca będą ludzie — powiedział cicho Olcha.

Inżynier Jaskólski roześmiał się.

— Doskonały materiał... Zależy, w czyich rękach. Podziwiam, jak pan okiełznał tego dyrblasa.

— Magister wychowuje sobie ludzi — zwrócił się nagle do mnie. — Ale jeśli się uda ten zamach, który szykują na Biremę, to i tak wszystko diabli wezmą. Tak, magistrze. Ta zabawka nam nawali — wskazał ręką na okno i stojące za nim budynki.

— A ludzie... Ludzie rozlecają się na cztery wiatry.

Spojrzałem nic nie rozumiejąc na Olchę. Twarz ściałnął mu grymas, którego dotąd u niego nie zauważyłem.

— I całą fabrykę diabli wezmą — powtórzył Jaskólski.

— Nie wezmą. Nie martwcie się, kolego — powiedział wolno Olcha.

Siedziałem z głupią miną. Nic nie rozumiałem z tego dialogu.

Olcha nagle spojrzał na mnie.

— Nie chciałem panu o tym mówić zaraz pierwszego dnia. Dopiero pan przyjechał. Myślałem, że o naszych kłopotach pogadamy sobie na samym końcu, przed pańskim wyjazdem.

— Za pozwoleniem — przerwał Jaskólski. — To są sprawy być albo nie być dla naszej fabryki. Tu nie ma co owijać w bawełnę.

Olcha syknął ze zniecierpliwieniem.

— A pan w gorącej wodzie kąpany.

— W grubo za zimną. W grubo za zimną... Pan tu przyjechał dopiero dziś? — zwrócił się do mnie.

Przytaknąłem.

— Widział pan już fabrykę?

— Jeszcze nie zdążyłem.

— To nic nie szkodzi. Sprawa jest zasadnicza. Skandal, mówię panu, skandal... Chcą nas zamordować, rozwalić. No, rozumie pan. Szykują zamach.

Słowa mu się plątały. Był wzburzony. Przeszał jeść zupę.

— Nie mogę mówić spokojnie. Bo... bo to...

Olcha położył mi dłoń na ramieniu.

— No, stary. Niech pan nie histerykuje. Potem popatrzmy na mnie.

— Posiedźmy tu chwilę dłużej. Opo-wiem panu pokrótce, jak to wygląda.

Malewicz obrócił w moją stronę swoje czarne, nieobecne oczy. Zauważyłem, że cały czas miał przyklepiony do ust smutny, jakby ironiczny uśmiešek.

Olcha zabębnił krótko palcami o blat stołu. I jego ogarnęło podniecenie.

— Panu to może wydaje się zabawne. Ale my się tym bardzo przejmujemy. Dla wielu z nas ta fabryka to coś bardzo ważnego. To rodzina i żona, i licho wie kto jeszcze. Mocowaliśmy się tu z każdym gramem. W 45 zwoiliśmy maszynę, instalowaliśmy się urządzenia, wyłapywało ludzi. Te wszystkie gmachy były w proszku. Trzeba było remontować, szkilić, odnawiać. W 46 ruszyła produkcja. Z początku kulawo. Brakowało ludzi, brakowało sprzętu, surowca. O wszystko się walczyło, wszystko się zdobywało. Ale to było potrzebne. Produkcja leków. Od naszej pracy zależało zdrowie i życie nieraz wielu ludzi. Nie oszczędzaliśmy się. Z pieniędzmi było źle, stawki płacy były liche. Ale nikt jakoś wtedy nie myślał o zarobkach. W 47 pracowaliśmy już wydajnie. Czytałem panu listę preparatów i leków, które tu produkujemy. Część tych leków produkujemy tylko my jedni w Polsce. Od tego, aby nasze środki dostały się na rynek, zależało życie wielu, wielu ludzi.

Jaskólski machał niecierpliwie ręką.

— Niech się pan spyta w jakiegokolwiek aptece o środki, które produkujemy. Odpowiedz panu, że takich rzeczy w ogóle się nie wyrabia, że o dostawie mowy nie ma.

Rzuciłem domyślnie: „Bojkot?”

— Coś w tym rodzaju. Jesteśmy fabryką państwową. Rozumie pan?

Nic nie rozumiałem.

— Trzeba to panu wyjaśnić cyframi — powiedział Olcha. — Przed wojną mieliśmy 40 prywatnych fabryk farmaceutycznych, teraz jest ich 156. Wszystko to są małe przedsiębiorstwa. Kapitał wędruje. Upaństwowiono wielkie i duże fabryki. Kapitał natychmiast przeniknął tam, gdzie ma jeszcze możliwość działania.

— Jaskólski wtrącił szybko;

— Więc 156 zakładów prywatnych i 84 proc. leków w aptekach z tych właśnie prywatnych fabryk.

Sprawa dotąd nie wydawała mi się tak skomplikowana.

Olcha zaczął powoli, z rozmysłem.

— Nasza fabryka rozbudowała się dosłownie z miesiąca na miesiąc. Produkujemy, my jedni w Polsce, szereg leków o wielkiej doniosłości. Przed paru tygodniami otrzymaliśmy zawiadomienie. Produkcję przewidzianą planem musimy zredukować o blisko 70 proc. Mamy zaprzestać całkowicie produkcji pewnych preparatów, o które ludzie się dosłownie biją i które można dostać tylko na czarnym rynku.

Mileżałem. Moje zdumienie było tak zupełne i szczere, że Olcha spojrzawszy na mnie, mimo woli się uśmiechnął.

— Zmniejszenie planu produkcji w takim stopniu, to dla Biremy coś w rodzaju samobójstwa. Za tym idzie natychmiast redukcja personelu. Placówkę, którą dosłownie z zaciśniętymi zębami budowaliśmy cegła po cegle, maszyną po maszynie, mamy własnymi rękami burzyć.

Zapadło milczenie. Milczeliśmy wszyscy. Wciąż jeszcze nie rozumiałem tej sprawy.

— Lekki, których okres skuteczności trwa 6 miesięcy, leżą od półtora roku i dotąd nie wywedrowały ze składnicy Centrali Zbytu.

— Centrale Zbytu narzucają swój dyktat. Naszego towaru mają rzekomo dosyć na dwa lata — dorzucił szybko Jaskólski.

— Wybaczcie, ale lękam się trochę sformułować wnioski — zacząłem.

— Sprawa jest jasna. Lecznictwo musi być uspołecznione. Całkowicie i bez reszty. A na razie prywatne apteki popierają i będą popierać prywatne fabryki leków.

— Więc bojkot?

— Bojkot czy cicha zмова. A Centrale Zbytu... Wiemy, mamy dowody — tam też siedzą ludzie, którzy wypowiedzieli nam walkę.

— Powtarzam, niech pan spyta w jakiegokolwiek aptece o leki, które produkujemy. Nie znajdzie ich pan nigdzie, chociaż bez mała wagonami zalegają składy Centrali.

— Czy nikt nie kwestionuje wartości leków?

Spojrzałem na mnie z uśmiechem pobłażania.

— Środki są 100% pewne i wypróbowane. Przecież mamy nieustanne raporty ze szpitali i klinik, dokąd je posyłamy.

— Więc widzi pan. Ministerstwo przyznaje nam bez przerwy kredyty na naszą rozbudowę — a z drugiej strony Centrale żądają naszej likwidacji. Ale my się nie zlikwidujemy i koniec. Jesteśmy u partii. Kiedys ci, którzy nas atakują, trafią wreszcie tam, gdzie trzeba.

Rzuciłem pytające spojrzenie.

— Do więzienia — powiedział krótko Olcha.

— To jest walka. Tylko pozornie bezkrwawa. Pozbawiać ludzi leków, pan wie, co to znaczy?

Jaskólski zapalił nerwowo popierosa.

— Po wojnie dostaliśmy wspaniałe dary amerykańskie w postaci leków w ilości wystarczającej na parę lat. — Dziwnym trafem chodzi o te właśnie środki, które produkują czy mógłby produkować państwowy przemysł farmaceutyczny. Niektóre dary bywają niebezpieczne.

Patrzył teraz wszyscy na mnie. Uwaga nie i ciekawie. Nie wiedziałem, co im powiedzieć. Byłem na Biremie zaledwie od dwóch godzin. I nagle znalazłem się w samym centrum dramatycznego konfliktu.

Malewicz obrócił na mnie swe wygasłe, czarne oczy. Gorzki, krzywy uśmiešek, który miał na twarzy, tym razem nie był napewno aluzją.

— Walka klas — powiedział.

—

Po fabryce oprowadzał mnie początkowo sam Olcha, potem oddał mnie pod opiekę Buzka.

Chodziliśmy z sali do sali. Oglądałem wielkie młyny, suszarnie, destylatory. Dobiał nieustanny warkot elektrycznych motorów. Ludzie w białych fartuchach snuli się cicho i sprawnie, kontrolując dziesiątki aparatów. W części fabryki, gdzie produkowano organo-preparaty, czuć było przykrą, ostrą woń, którą wydzielają całe masy narządów bydłych, suszonych w wielkich suszarniach a później mielonych na młynach.

Część fabryki, gdzie produkowano preparaty na drodze chemicznej, wyglądała zupełnie odmiennie. Przypominała wielkie laboratorium. Na ścianach wisiały wzory i formuły chemiczne. Na długich stołach widać było rzędy kolb, probówek



# K L A S

i retort. Chemicy kręcili się po sali, skupieni i uważni.

Był to dział inżyniera Jaskólskiego. Oprowdzał nas od stołu do stołu, objaśniając kolejne stadia produkcji.

Buzek niecierpliw się na gadatliwość Jaskólskiego. Mielśmy w ciągu jednego dnia zwiedzić całą fabrykę.

W zwierzędarni chodziliśmy od jednej klatki do drugiej. Łaciate króliki o wielkich, wypukłych oczach strzygły na nasz widok uszami, nie przestając żuć liści szałwy. Morskie świnki, białe szczury i myszy, kury i koguty — kręczyły się nerwowo po swych klatkach.

W dziale kontroli widzieliśmy w białych, lśniących od czystości salach te same zwierzęta służące już za obiekt eksperymentu. Na niektórych kontrolowano skuteczność wyprodukowanych leków, na innych dokonywano dopiero prób z nowymi środkami.

Potem siedzieliśmy w małym pokoiku referenta socjalnego. Buzek świdrował mnie swymi oczkami.

— Widział pan? Fabryka jak cacko.

— Ma pan rację. Wzorowa fabryka. Wszystko idzie tak cicho i sprawnie. Wszędzie widać obecność ludzkiej myśli. — Ulepsza się. Każdego dnia coś się tu poprawia, oczyszcza, udoskonala. To Olcha... — Olcha?

— To już taki człowiek. Fabryka to on. Nie zna godzin pracy. A zresztą tu nie chodzi o godziny pracy. To jeszcze zupełnie co innego.

Milczałem zaciekawiony.

— Olcha nie powie nigdy nikomu złego słowa. Ale my się z nim liczymy. On sam wymaga od siebie najwięcej. Kiedy jest z nami, każdy się trzyma. Tu nie ma ludzi na posadach, każdy z nas ma zadanie i chce je wypełnić.

Buzek zaczął się widać, dłuższe wypowiedzi nie przychodziły mu łatwo. Wyciągnął z kieszeni bibułki i blaszane pudełko z tytoniem. Skręcił papierosa, poślinił bibułkę, zapalił.

— Widzi pan, żeby dużo nie gadać... Powiem panu o sobie. Mam 22 lata. Miesiąc temu ożeniłem się. Miesiąc — rozumie pan? I przez cały ten miesiąc nie miałem takiego wieczoru, żebym wrócił do domu wcześniej jak o jedenastej, dwunastej w nocy.

Papieros mu zgasł. Wyciągnął mosiężną zapalniczkę i zapalił znowu.

— Tyle ma pan tutaj roboty?

— Jestem w aktywie ZMP. Są pogadanki, dyskusje, musimy wyjeżdżać w teren. Ale to tylko parę godzin dziennie, resztę czasu zabiera mi fabryka.

— Fabryka?

— Widzi pan, to specjalny zakład, tu trzeba dopiero organizować. Chcemy uruchomić świetlice, kursy samokształceniowe. Jest sprawa współzawodnictwa pracy. Wszystko trzeba obmyślić, przygotować. Nie można tak zaczynać z pustymi rękami.

— Olcha panu pomaga?

— Pomaga. Jego głową to wszystko idzie. Sam siebie nie oszczędza. Wszędzie zajrzy. I tak już jest. Pracujemy bez zegarków. Myśli pan, że to tylko ja tak? Skąd? Taki Jaskólski. Kiedy praca kończy się o czwartej, on dopiero zaczyna królować w swoim laboratorium. A Malewicz.

— Kto to jest ten Malewicz?

— Oh! Kto... Panie, nic pan nie słyszał o Malewiczu?

— Nic.

— To oświeceniak. Jeden z przywódców międzynarodowej organizacji Oporu. Morowy chłop. Ja tam nie jestem żaden spec, ale wiem, że on ma świetną markę. Uczony, wynalazca. Powiedział pan, że dziwnie wygląda. On już taki jest. Nie miał łatwego życia.

— Wygląda tak młodo. Nie chce mi się wierzyć w to, co pan mówi.

— Młodo! On wcale nie jest młody. Niech pan mu się lepiej przypatrzy.

Zamilkliśmy. Z komina Biremy parł w górę wysoki, prosty stęp dymu. Buzek zginił niedopalek papierosa.

— I tak, widzi pan. Olcha nas wciągnął w tę fabrykę. Chcemy z niej zrobić jakieś cudo. Głupio to może określić, ale trudno mi powiedzieć inaczej. Poza tym jest partia. Do niej też wciągnął nas Olcha. Nie wszystkich. Ale na przykład mnie, Jaskólskiego i innych jeszcze. Widzi pan, Olcha przyjechał stamtąd.

— Z Rosji?

— Tak. W 39 roku znalazł się we Lwowie. To jeszcze przedwojenny komunista. No, i był przez tych kilka lat w Rosji... I widzi pan, to naprawdę świetny gość...

Zająknął się. Popatrzył na mnie, jakby trochę nieufnie.

— Nie chce, żeby mnie pan źle rozumiał. Olcha to wspaniały gość. On nas tu wszystkich za sobą pociągnął. Ale...

— Znow zamilkł. Był niezadowolony z siebie. Szukał jakichś słów i dawał je w sobie jeszcze przed wypowiedzeniem.

— Olcha przyjechał stamtąd... z Rosji. Widzi pan, tam inni ludzie, inne stosunki. Socjalizm, jakby tu powiedzieć... przetrwawiony. A u nas niektórzy źli, rozżarci... Okupacja, wie pan i tak w ogóle... Nie można tu każdemu wierzyć. Ja jestem młody, ale wiem.

— Więc myśli pan, że Olcha...

— Olcha... Może się mylę, ale za bardzo wierzy takim różnym. On potrafi być też twardy, ale...

— Sądzi pan, że trochę utopista?

— Tak, o właśnie. Utopista. To taki nauczyciel, no, pedagog. On absolutnie wierzy, że każdego można nawrócić, wychować, zmienić. Ale ludzie to nieraz...

— ...I żeby pan wiedział, że ten sposób daje wyniki. Ludzi nie wolno tak łatwo odrzucać. Żeby wymagać, żeby stawiać swoje warunki — najpierw trzeba ludzi wychować.

Olcha tasował papiery na biurku. Widać było, że robi to zupełnie machinalnie.

— Ludźmi trzeba się interesować. To nie tylko tak: zrobicie swoją robotę, weź pieniądze i możecie iść do domu. O nie. Oni muszą wiedzieć, że to ich fabryka. I muszą wiedzieć, że praca w takiej fabryce obowiązuje też poza nią. Birema — to trochę fabryka i trochę szkoła. Mam takie ambicje.

Popatrzył na mnie.

— Te ludzkie przestępstwa są właściwie takie śmieszne, takie białe. Wiem, nie można pobić nawet w najmniejszym, ale niech pan posłucha. Jest młoda dziewczyna. 19 lat. Pracowała tu, w pakowni. Mamy tam dokładną kartotekę. Donoszą mi pewnego dnia, że brakuje stoika kremu.

Akurat wtedy wypuściliśmy na rynek serie kremów hormonalnych. Poszedłem do pakowni, kazałem się zebrać wszystkim pracownikom, powiedziałem co i jak z tym stoikiem kremu. Zupełnie spokojnie. Nie lubię nadużywać głosu. Powiedziałem im trochę o swoim własnym stosunku do pracownika, trochę o naszej fabryce... Daliśmy im godzinę czasu. No i po godzinie puka do mnie ta właśnie dziesiętnastoletnia smarkata. Placze tak, że ledwie może mówić. Przrzeka poprawę. Ukradła po prostu z głupoty. Kazałem jej wyjść i zaczęła na moją decyzję. Wezwałem Radę Załogową. Pogadałem z nimi, przekonałem. Wystąpili zgodnie za dziewczyną, że niby gwarantują jej poprawę.

Do gabinetu weszła sekretarka z blond warkoczami. Podsunęła dyrektorowi jakieś papiery. Przejrzał je uważnie, podpisał i zwrócił.

Kiedy sekretarka wyszła z gabinetu, Olcha powiedział:

— Widział ją pan? Przez pół roku była u nas sprzątaczką. Kiedy pewnego dnia zachorowała jedna z maszynistek, nasza sprzątaczką usiadła przy maszynie i napisała zupełnie poprawny list. Podobno cały czas, gdy u nas pracowała, chodziła równocześnie na kursy maszynopisania. Niedawno opróżniło się u nas miejsce. Została moja sekretarka. Trzeba, żeby ludzie szli naprzód.

Jak pan widzi, ciągle gadamy o ludziach, o awansie. Od 39 roku byłem w Związku Radzieckim. 5 lat wykładałem w szkole. Mówili, że mam talent pedagogiczny. Trochę widać przetrwało we mnie coś z tamtych czasów. Widzi pan, cała moja rodzina wyginęła i rodzina mojej żony. I... to może się panu wydaje dziwne, ale ja jestem człowiekiem bez kompleksów wojennych. Byłem w Rosji, ale wiedziałem, co się tu dzieje. I wie pan... po tym wszystkim potrafię się radować, potrafię budować, wierzę w socjalizm, w ludzi.

Widział pan Malewicza. Bohater Oświęcimia. Człowiek, którego nie ma się śmiać. Odważny, komunista, tak jak ja. I zarazem zupełnie inny człowiek. Może to właśnie chodzi o okupację. Malewicz nie potrafił się uśmiechać, tylko się krzywił. Widział pan jego oczy? Dziwne oczy, tak bez dna, puste. To jest wspaniały człowiek, najlepszy przyjaciel i towarzysz. Tylko że nie potrafił się radować. Walczył, nigdy siebie nie oszczędzał, ale oczu mu nikt nie zmienił.

Do gabinetu weszło paru mężczyzn w drelichowych kombinezonach. Przynieśli próbki tekturowych opakowań. Rozmawiali z Olchą dłuższą chwilę.

Kiedy opuścili gabinet, Olcha wyciągnął z biurka wielką tekę wykresów produkcji. Nachylił się nad nią. Pokazywał mi czerwone anotacje ołówkiem.

— Musimy się wyrzec tego, i tego, i tego. Widzi pan? Dokładnie 70 proc. planu produkcyjnego. Mam popełnić samobójstwo. Pan wie, co to jest plan ogólny? Temu się trzeba podporządkować. Ale kiedy ja wiem, kiedy ja mam dowody, że likwidowanie naszej produkcji to jest plan sabbatystów, wtedy co innego, wtedy będę walczył do upadłego. Ja nie jestem takim... dobrym, poczciwym człowiekiem.

Potrafię walczyć do ostatka, gdy jest o co. Sprawę Biremy doprowadzę do końca. Plan produkcyjny nie będzie obcięty ani o jeden procent. I z tym, żeby ludzie ginęli z braku leków, kiedy tych leków stoją pełne składnice — skończy się. Przestałem być dobrym, poczciwym człowiekiem.

— Dam panu swój samochód. Odwiezie pana na dworzec.

Opuszczaliśmy na parę dni W.

— Widzi pan, nie lubię tych nowiućkich, lśniących wozów. Mój samochód powstał z 4 czy 5 innych porozbijanych. Ale to jest dzieło rąk mego kierownika transportu. Tak jak cała fabryka, powstał wysiłkiem rąk własnych.

— I ma oczywiście swoją historię — zagadnąłem.

— Oczywiście. Ciągnie mnie pan za język. To było tak. Dwa lata temu potrzebowaliśmy palacza. Zgłosił się taki jeden. To ciężka, czarna robota. No i był sobie ten palacz na zmianę z drugim. Miałem wtedy auto, starą Dekawkę. Kiedyś wpakowała mi się na szosie na ciężarówkę. Szofer uciekł i nie wrócił dotąd, choć minęły dwa lata. Takie to wtedy zresztą były czasy. Dekawkę zabrał sobie tutaj, stanął sobie na podwórzu, czekałem na okazję, kiedy ogłoszą zbiórke złomu. No i pewnego dnia zgłosił się do mnie ten palacz. Spytał, czy mi nie potrzebnego auto. Potrzebne było, ale pieniędzy nie myślałem na to dużo wydawać. Palacz rozumiał, kiwał głową. Prosił, żebym mu pozwolił obejrzeć szczerki Dekawki. Po paru dniach wrócił. Powiedział, że może mi zrobić auto. Zrobić, rozumie pan? Nie zreperować. Jakoś się dogadaliśmy. To trwało chyba za cztery miesiące. Mówię panu, kosztowało jakieś grosze. Wszędzie po szosach poniewierali się jeszcze stare niemieckie auta. Wreszcie dostałem wspaniałą samochód. Mercedes, Adler, moja stara Dekawka i jeszcze parę innych — złożyły się na to auto. Potem daliśmy lakier. I mówię panu, jaki wóz! Jak pogналиśmy pierwszy raz na miasto... Hispano-Suiza czy Rolls-Royce nie mogłyby się równać z moim wozem. A z palacza zrobiłem kierownika transportu. To przedwojenny szofer. Powiezie dziś pana na dworzec.

Do gabinetu wszedł niski mężczyzna w battle-dressie. Miał okrągłą twarz o ciemnej cerze, skośne wąskie oczy i małe czarne wąski.

— Poznajcie się panowie — zwrócił się Olcha — Pan Fedak, kierownik naszego transportu. Panie Fedak, proszę odwieźć pana na dworzec.

Samochód, trochę dziwny kształtem, szedł rzeczywiście doskonale. Mój szofer nie nie mówiąc dał mi poznać całą skalę możliwości swego wozu. Kolejno wszystkie biegi, próbę zrywu i hamowania.

Stanęliśmy przed dworcem.

— Doskonały wóz. Stworzył pan arcydzieło — zwróciłem się do szofera.

— Oh, arcydzieło! — zaśmiał się z zadowolaniem. — Widział pan naszego magistr? Olchę, mówię. To jest arcydzieło. Chłop — arcydzieło.

Śmiał się cicho i wąskie oczy błyszczały mu jak dwie stalowe klingi. Uściskał mi sobie ręce.

Obejrzałem się z nim, kiedy odjeżdżał. Przyłożył po wojskowemu dwa palce do furazerki.

— Żałuję, że pana tu nie było przed dwiema godzinami. Miałby pan prawdziwy teatr czy prawdziwy dramat, jak pan chce.

Olcha chodził po gabinecie.

— Rano miałem tu niespodziewanych gości. Właściwie to może i trochę ich oczekiwałem. Przyjechali z Warszawy, Dyrektor Zjednoczenia i Dyrektor Centrali Zbytu. Chodziło oczywiście o gwóźdź do trumny, o to zmniejszenie produkcji. Przyjechali wygłosić mi wyrok oświadczenia. Może chcieli jeszcze dodać trochę łagodnej perswazji, bo niby do tej pory dobrze mnie notowali. Nie mieli szczęścia ci panowie z Warszawy. Akurat rano na teren

naszej fabryki przybyła komisja społeczna, wydelegowana przez miasto W. z przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej. No, i widzi pan, miałem scenę, której nawet by mi nie przyszło do głowy reżyserować.

W tym gabinecie, o tu, na tych krzesłach, siedzieli jedni naprzeciw drugim. Ja nawet nie potrzebowałem zabierać głosu, zresztą dosyć listów wysłałem w tej sprawie. I tak, rząd daje nam 47 milionów kredytu na rozbudowę a ci każą likwidować cały kram. Żeby pan wiedział, jak tu tejsi, ci z Komisji, skoczyli tym z Warszawy do gardła! Walli pięściami w stół, krzyczeli i tamci też krzyczeli. Ja mogłem się tylko przyglądać. To była prawdziwa burza. Ci panowie wreszcie trochę się dowiedzieli o tym, co to są Ziemia Odzyskana. I czy wolno tak lekką ręką rozwałować zakład pracy, który z takim trudem, z takim wysiłkiem się montowało i obsadziło przez fachowców. Tamci rzucali cyfry i rozkładali ręce. O, i te niewinne uśmiechy... Sytuacja mówi sama za siebie. Za przestając produkcję, redukować ludzi — to u nas tutaj znaczy zdradzać i sabotażować. I tamci panowie to usłyszeli. Był już czas najwyższy. I przyszedł taki moment, że siedzieli czerwoni i wściekli. Już nie mogli wysunąć żadnego argumentu. Pożegnali się i zrejęterowali. Koniec. Wyjechali napewno w przekonaniu, że to ja na ich cześć przygotowałem całą tę inscenizację. Ale to mnie nie wzrusza. Był czas, żeby biurokraci usłyszeli naszą odpowiedź. I tak usłyszeli za mało.

Olcha usiadł na parapecie okiennym. Wyciągnął ku mnie pudełko z papierosami.

— Żałowałem, że pana tu nie było. Dramat osiągnął punkt kulminacyjny. Mówię panu, atmosfera była tak napięta, że zdawało się, iż między ludźmi latają niezdania i argumenty, tylko błyskawice. I tylko ja jeden byłem tego świadkiem. A scenę taką warto pokazać w teatrze, żeby ją mogli oglądać tysiące. Konflikt dzisiejszych czasów.

Te sprawy dotyczyły go widać najgłębiej i najboleśniej.

— Teraz widzę już tylko dwie drogi. Ostateczne pogębienie Biremy i wtedy ja stąd odejdę, bo nie będę własnymi rękami burzył tego, co tu zbudowałem. Albo...

— Wygrana?

— Skinął głową. Spojrzał na zegarek.

— Czekaj mnie dziś jeszcze jedna niełatwa przeprawa — skrzywił się.

Spojrzałem na niego pytająco.

— Oh, sam jeszcze dobrze się w tym nie orientuję. Ale to już nie chodzi o fabrykę, czy o nas wszystkich. To taka nawet nie sprawa, tylko sprawka...

Zadrżały szyby. Syrena wzywała na obiad.

Późnym wieczorem spotkałem na ulicy Buzka.

Staliśmy chwilę naprzeciw siebie. W mroku żarzyły się ogniki papierosów. Bez słów wiedziałem już, że coś się stało.

Nad miastem wśród czarnych chmur przedarła się zielonkawa smuga czystego nieba. Ostatni znak zachodu słońca. Koło nas pędem przejechało jakieś auto, bryzgając wodą z kałuż.

— Pamięta pan, co mówiłem — zaczął nagle Buzek. — To nie był człowiek na nasze stosunki. Utopista.

— Co się stało?

— Olcha... No... Olcha nie żyje. Nie mogłem się zdobyć na zadawanie pytań.

— Ten Fedak. Pan wie... szofer. Kierownik transportu.

— Fedak?

— Był w gabinecie. Sekretarka słyszała. Rozmawiali podniesionymi głosami. No, i potem Fedak wybiegł. Samochód stał na podwórzu. Fedak wskoczył do środka i pojechał. Portier nic nie podejrzewał, otworzył bramę i przepuścił samochód. A sekretarkę coś tknęło, weszła do Olchy. Leżał z rozbitą głową, bez ducha. Przyciskiem z biurka. Rozumie pan.

Szliśmy obok siebie ciemną uliczką bez latarni. Znowu przejechał samochód, przesuwając po nas ślepią, przyciętych reflektorów.

— Auto Fedaka znaleźli już milicjanci. Parę kilometrów za miastem.

— A Fedak?

— Uciekł.

Wyszliśmy na główną ulicę. Pomimo późnej pory ruch nie ustawał. Z oświetlonych okien restauracji padały złote tafle na chodnik i jezdnię. Orkiestra grała spokojnego walca.

— Pan wie, Olcha tego Fedaka pchał, jak mógł. To był jego człowiek. Był z niego dumny. A Fedak... Fedak, zdawało się, że przywiązany do Olchy jak pies.

Miotając sny i iskier minął nas powoli naładowany tramwaj.



— Olcha za bardzo wierzył ludziom. Głupio wierzył ludziom. To się zawsze tak kończy — mówił Buzek.

Tego wieczoru wyjechałem z W. I długo nie wracałem. Pewne sprawy zmusiły mnie nawet do paromiesięcznego wyjazdu za granicę.

Kiedy znowu znalazłem się w W., w pierwszej chwili ciężko mi było zdobyć się na decyzję udania się do Biremy. Nagle wszystko ożyło we mnie. Przypomniałem sobie Olchę. A obok niego wstały w pamięci dziwne, opustoszałe oczy Malewiczka i maleńkie, świdrowate ślepki Buzka.

I potem Fedak w battle-dressie, jego ciemna, okrągła twarz i małe, czarne wąsiki. Pamiętam uśmiech, jakim zęgnął mnie z auta.

Jakże to on powiedział o swoim dyrektorze?

— Arcydzielo. Chłop — arcydzielo.

Kiedy znalazłem się na terenie Biremy i trafiłem do gabinetu Olchy, za biurkiem dyrektorskim siedział Malewicz. Obok stał Buzek. Przywitani się ze mną.

— Został pan dyrektorem — spytałem Malewiczka.

— Tak zostałem dyrektorem.

— Wybaczcie mi, parę miesięcy nie byłem w kraju. Nie widziałem naszych gazet. Co słyhać ze spraw Olchy?

— Sprawa Olchy... — Malewicz patrzył na mnie swymi dziwnymi, obojętnymi oczami.

— Już wiem. Pan miał jechać tego dnia, kiedy zginął Olcha. Spotkaliśmy się przecież wieczorem — zaczął Buzek.

Skinąłem głową.

— Wie pan. Ten Fedak po trzech dniach zgłosił się sam na milicję.

— Zgłosił się sam?

— Tak. O to długa historia. Okazało się, że kiedy przewoził transport leków, część ich zginęła po drodze. Specyfikację miał w ręku Olcha i on jeden tylko o tym wiedział, bo do niego dzwonił ze składów. Nikomu nic nie powiedział i wezwał do siebie Fedaka. Wierzył mu absolutnie. Pan wie, jaki był Olcha. No, i właśnie wtedy...

Fedak go zamordował. Myślał, że zatrze ślady swojej kradzieży. A zresztą, diabli go wiedzą, co myślał. Przecież zabił człowieka. Szukali go i nie mogli znaleźć. Aż trzeciego dnia przyszedł na milicję. I wtedy dopiero wyznał wszystko. Było o tym w gazetach, ale pan nie czytał. Więc tak. Fedak był za okupacji w NSZ. I jeszcze potem w 45 i 46 roku. A później się zdecydował. Postanowił z tym skończyć. Uciekł od tamtych. Oni grasowali gdzieś w centralnej Polsce. Zniknął im z oczu, dotarli aż tutaj. A ujawnić się wobec władz — nie miał odwagi. Widać miał jakieś takie sprawy na sumieniu. Wobec Olchy też o swej przeszłości ani słówka. I tak sobie u nas pracował. Myślał, że wszystko w porządku. Nagle tamci wpadli na jego ślad. Zaczęli go nachodzić, a szantażować

go, a grozić, że powiedzą o nim wszystko dyrektorowi i władzom. Zmógł im w rękach jak wosk. I tak stała między nimi umowa, że ma im dostarczyć pewnych specjalnie drogich leków. Było tego za parę milionów. A oni obiecali raz na zawsze dać spokój. Nie wiem, co on myślał, że się nie wyda, czy co? Podobno tłumaczył się wobec Olchy, że kiedy wioził tamte leki, widać ktoś wskoczył na platformę wozu i skradł paki z lekami a on nic nie widział.

Głupie, durne tłumaczenie. Myślał, że tak mu się uda. W czasie tej rozmowy Olcha mu nie wierzył i podobno groził, że go wyda władzom bezpieczeństwa, bo to za gruba sprawa. No, i wtedy właśnie... Co takiemu zabić jednego więcej człowieka.

Siedzieliśmy w dawnym gabinecie Olchy. Patrzyłem na proste, sosnowe biurko i jasne krzesła.

— Nic się tu nie zmieniło — powiedziałem.

— Tak. Nic się nie zmieniło — odpowiedział cicho Malewicz.

— A ten Fedak zgłosił się sam — powiedziałem raczej do siebie, niż do nich.

— Tak Olcha... No, Olcha to był dla niego ktoś bardzo ważny. Opowiadał, że jak to zrobił i uciekł, chciał się otruci czy rzucić pod pociąg. A potem się zdecydował i poszedł na milicję. Wyznał wszystko.

Spojrzałem przez okno. Po podworzu kręcili się ludzie w drelichowych kombi- nezonach i białych fartuchach.

— A Birema... — spytałem.

Podnieśli na mnie zdziwione oczy.

— Kiedy widziałem ostatni raz Olchę, mówił mi właśnie. Miały się zdecydować losy fabryki. Kazali wam wtedy tak zmniejszyć plan produkcji, że to groziło...

— O, to stare kłopoty — Buzek się zaśmiał. — Ten Olcha to był jednak twardy człowiek. Dopiął swego. Cały nasz plan zatwierdzili. Tak. Zlekli się go, chociaż jego już tu nie było. W tydzień po śmierci Olchy przyszyły w tej sprawie papiery.

— A tu, widzi pan, buduje się nowe skrzydło.

Z daleka widać było stojący samochód, z którego wyladowywano szare cementowe pustaki.

Buzek dotknął mego ramienia.

— Pamięta pan, jak się tamci wściekali? Olcha panu przecież opowiadał, jak go naciskali listami, jak grozili, jakich używali argumentów. I co...

Malewicz wyciągnął z szuflady jakieś papiery. Na twarzy jego widniał nieodłączny uśmiech — grymas.

Popatrzył na mnie, ale nie mogłem uchwytyć jego wzroku.

— Walka klas... — rzucił.

Pamiętam. Już kiedyś mi to mówił.

Stanisław Kowalewski

IGNACY SZANIAWSKI

## SKĄD I DOKĄD?

Uwagi o ideologii prof. Suchodolskiego

„Dziecinny młynek!  
Dziecinny młynek na brzegu rwącego  
potoku,  
kiedy rycząca powódź i noc idą z gór...”

— tak Czesław określił pewną książkę, która — jak tego chce powszechna opinia — nosi tytuł „Skąd i dokąd idziemy” i ukazała się w czasie okupacji. Słowa zaś

„...Biała temu, kto chce stanąć nad  
przeciwieństwami.  
Mówiąc, że woda jest zła i zły jest ogień,  
a dobre tylko niebo...”

Ironia Miłozza przeszła bez echa. „Inteligent w opadłych portkach — jak go nazwał poeta — wskrzeszający nowe średniowiecze” nie replikował, nie zaangażował się po żadnej stronie barykady społecznej, nie sprecyzował sprawy jasno, na wszelką okazję pozostawiając sobie furtkę. Bo autor „Skąd i dokąd idziemy” — i jemu podobni — gdy myślą o sprawach dla człowieka najbardziej podstawowych i zasadniczych: o ustroju społecznym i władzy, sądzą, że można żyć w „państwie złotego środka”.

„...I będzie potem rząd ni z prawicy  
ni z lewicy,  
I będzie potem pół oświaty i pół reformy,  
Pół wolności, pół ucisku i pół  
wyrzeczenia,  
Żeby mieli nad czym jęczeć zgorzkniali  
poeci...”

— pisał Miłozz w swym zbiorze wierszy pt. „Ocalenie” (Warszawa, „Czytelnik”, 1945, str. 135—136).

Wyzwany autor nie odpowiedział. Korzystając z faktu, że jego książka „Skąd i dokąd idziemy” ogłoszona jest pod pseudonimem a nie pod nazwiskiem, że w cyt. wierszu Miłozz nie podaje wyraźnie, w kogo celuje, przeszedł nad wszystkim do porządku dziennego.

Wkrótce po tym ukazał się w „Kuznicy” (Nr 14, str. 7, rok 1945) artykuł pt. „W poszukiwaniu niemieckiej duszy”. Artykuł ten, napisany w związku z opublikowaną rozprawą pt. „Dusza niemiecka w świetle filozofii”, choć powściągliwy w tonie, precyzuje szereg zasadniczych zarzutów. Zarzuty te wiążą się ściśle nie tylko z treścią wiersza Miłozza opublikowanego w 1945 r., ale także z krytyką i zarzutami profesora Kotarbińskiego, który jeszcze w r. 1943 w konspiracyjnych „Realizacjach” stwierdził był wręcz, że książkę „Skąd i dokąd idziemy” brak jest po prostu wyraźnie sprecyzowanej postawy autora, brak jest kropki nad „i”. Obecnie, w związku z ukazaniem się w 1945 r. „Duszy niemieckiej w świetle filozofii” „Kuznica” poza tym przypomina inne jeszcze grzechy główne: „Dziwne operacje ze słowem racjonalizm — pisze „Kuznica” — pozwoliły autorowi jako przykład niemieckiego antyracjonalizmu podawać... Marksa. W ogóle, traktując Marksa jako reprezentanta „duszy niemieckiej, dąży się (oczywiście bez kłopotu nad „i”) do tego, by suponowana u czytelnika niechęć do Marksa wzmacniała niechęć do niemieczyzny i zwłaszcza — odwrotnie”. A dalej „Kuznica” przypomina: „Suchodolski stwierdza, iż filozofia nie-

miecka (chciałoby się raczej powiedzieć: zarzuca filozofii niemieckiej) w swoim antyracjonalizmie zrywała z „renesansową tradycją europejską” — a przecież, ktoś, jeśli nie profesor Suchodolski tak często nas do tego zwrębia i do nawiązywania do przedrenesansowych czasów namawiał? Mówi o gwałtownej krytyce urbanizacji życia i mechanizacji pracy ludzkiej — a przecież sam od dawnych swych wystąpień w „Pionie” poczynając niemniej gwałtownie krytykę tę prowadził!”

Mowa więc o profesorze Suchodolskim. To o nim w ten sposób pisali: Kotarbiński, Miłozz, „Kuznica”. O nim to mowa w konkluzji cytowanego artykułu: „...Niek którym pobite Niemcy przydać się mogą w charakterze kozła ofiarnego: by strząsnąć na niego własne grzechy...”

Powiedziano jasno i niedwuznacznie — tym razem już z podaniem nazwiska. Ale i teraz prof. Suchodolski nie zareagował. Przeszedł nad tymi uwagami do porządku dziennego, jak gdyby nigdy nic. Nie zareagował; jak za pierwszym razem, ani natychmiast — bezpośrednio, ani też później, poprzez jakąś pracę — pośrednio.

Natomiast dalszą swą twórczością profesor Suchodolski nie tylko, że potwierdził wszystkie dotąd stawiane zasadnicze zarzuty, ale ujawnił nowe rysy oblicza, nową postawę.

Staje się to szczególnie jaskrawe przy analizie jednej z podstawowych prac profesora Suchodolskiego pt. „Wychowanie moralno-społeczne”, oraz rozpraw filozoficznych opublikowanych niedawno w miesięczniku „Znak”.

Wydanie II studium prof. Suchodolskiego pt. „Wychowanie moralno-społeczne” (Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1947) różni się zasadniczo od szeregu wznowień przedwojennych prof. prof. Nawroczyńskiego, Baley, Kreutza i in. Wymaga ono dlatego baczniejszej uwagi. To bowiem wydanie drugie zawiera szereg zmian, i to bardzo zasadniczych. Dodajmy jednak — przeprowadzonych idyogenicznie.

Przed wszystkim już sama przedmowa do wydania II w swoisty sposób zaciera oblicze i po prostu fałszuje przedwojenne akcenty polityczne pracy prof. Suchodolskiego.

Kto jednak na samej tylko przedmowie do nowego wydania chciałby poprzestać, popełniłby bardzo duży błąd. Ażby stwierdzić, jak daleko sięgają zmiany w wyd. II, należy zestawieć odpowiednio rozdziały obu wydań. Metoda cytowania i zestawiania cytatów z zastosowaniem minimalnej ilości komentarzy wydaje się tu najbardziej celowa i uzasadniona. Wybierzmy kilka przykładów.

Wskazując zupełnie słusznie, że jednym z najważniejszych problemów realizacji wychowania moralno-społecznego w szkole jest znalezienie właściwej proporcji między elementem intelektualnym i aktywnym oraz równowagi między nimi, wskazując — znowu zupełnie słusznie — na konieczność wprowadzenia dzieci

i młodzieży w skomplikowany mechanizm życia współczesnego i wreszcie, zaznaczając, że okolicznościowe pogadanki nie są w wychowaniu moralno-społecznym metodą dostateczną, dochodzi prof. Suchodolski do wniosku, że tzw. wycieczki społeczne, a więc odwiedzanie fabryk, warsztatów, spółdzielni itd., słowem aktywny udział szkoły w życiu, w ramach istniejącej organizacji społecznej, to jedna z najważniejszych metod wychowania moralno-społecznego młodego pokolenia. Ale takie stwierdzenie zgodne zresztą z ogólnymi założeniami pedagogiki międzywojennej zmusza — i to z miejsca — do konkretnego sformułowania, na odpowiedzi na zasadnicze pytania, które młodzież podczas zwiedzania fabryk, przyglądania się procesowi wytwarzania oraz sposobom transportu i dystrybucji produkowanych towarów i artykułów pierwszej potrzeby, stawiała i stawiać mogła każdemu nauczycielowi i wychowawcy: w czym reku znajdują się fabryki? w czym znaleźć się powinny? jakie jest źródło walki klasowej? w jaki sposób można znaleźć wyjście z kapitalistycznego impasu kapitalizmu? dlaczego strajkują robotnicy? itd.

Na te pytania daje Suchodolski odpowiedź następującą w pierwszym wydaniu „Wychowania moralno-społecznego”:

„...Ujawnia się tu istniejące obecnie przeciwieństwa społeczne — gospodarce oraz słuszne dążenia do stworzenia bardziej sprawiedliwych warunków życia dla wszystkich, do pogodzenia interesów przedsiębiorców i pracowników, wytwórców i spożywców. Obowiązki obywatelskie pracowników i pracodawców zarysują się na tym tle wyraźnie, a wybór za wodu okaże się kwestią uzgodnienia ważnej działalności osobistej z użytecznością społeczną. (Podkreślenie moje, „Encyklopedia wychowania”, tom I, część II, str. 940).

Co to znaczy: pogodzenie interesów przedsiębiorców i pracowników? Co to znaczy: pogodzenie obowiązków obywatelskich pracowników i pracodawców? To oznacza faszystowską metodę rozwiązania problemów społecznych oraz brutalną odpowiedź faszystów na teorię i praktykę walki klas. Zwie się ona, jak powszechnie wiadomo, solidaryzmem.

Ze prof. Suchodolski nie przypadkowo jest chwałcą solidaryzmu, że to nie z trudem, żmudnie wylowiony cytą, że jest to zasadniczy nawyk myślenia i pisania w jego solidarystycznej postawie, że to wreszcie pewien opór i konsekwencja — świadcząc może poniżej, jeszcze z wcześniejszych lat pochodzący, rozdział ze studium prof. Suchodolskiego pt. „Dzisiejsza ideologia faszystów” („Pamiętnik Warszawski”, zeszyt IV, 1929 r.). Do całości tego studium, do jego charakteru, trzeba będzie jeszcze wrócić. Ale teraz, w związku z obroną solidaryzmu przez autora, przytoczymy pewne znamienne wyznaczenie. Prof. Suchodolski pisze:

„Faszyzm zgodnie z zasadą, iż państwo rozwiązywać powinno wszelkie zagadnienia życia społeczeństwa, wysunął postu-

lat, że jak na miejsce samoobrony jednostek zorganizowało państwo wymiar sprawiedliwości własnej, podobnie i na miejsce samoobrony klas zjawia się mu si sprawiedliwość wymierzana przez państwo. Organizacja syndykalna (podkreśl. moje) przeprowadzona w r. 1925/6 była realizacją tego postulatu. Państwo zachowało kontrolę nad życiem syndykatów i prawo uznania spośród różnych syndykatów na danym terenie, dla danej gałęzi wytwórczości, tylko jednego, jako organu prawa publicznego. Ow uznany bowiem syndykat ma wyłączne prawo zawierania umów o pracę i zapłatę, obowiązuje wszystkich pracowników, bez względu na to, czy są jego członkami. W ten sposób faszyzm pragnie uchronić warstwę pracującą od destrukcyjnych wpływów Związków Zawodowych, walczących o wpływy i członków drogą nie-realnych obietnic, logiką partii dyktowanych strajków, demagogicznego podbijania plac itd.” (str. 61—62, podkr. moje). Tak sądził profesor przed wojną.

Przyjrzyjmy się tedy, czy także w wydaniu II prof. Suchodolski stoi na platformie solidaryzmu, czy też, uwzględniwszy klasę gospodarczą i militarną faszyzmu, upadek hitlerizmu, zwycięstwa narodu polskiego pod okupacją, wielkie zwycięstwa socjalizmu i Czerwonej Armii, wreszcie — zdobyte polityczne i gospodarcze demokracji ludowej, stanie na wyraźnie anty-faszystowskim stanowisku, przynajmniej zgodnie a głośno, publicznie a szczerze, że o to dotychczas holdował błędnej ideologii politycznej i kulturalnej, ale odtąd wzięwszy pod uwagę tak wstrząsającą lekcję historyczną, postanowił nawrócić. Prof. Suchodolski tego nie uczynił. W wydaniu II po prostu ustępu ten dyskretnie skreślił, zatuszował cichutko i — na tym koniec.

Inny przykład. Pisząc w wydaniu pierwszym o zadaniach wychowania moralno-społecznego w Polsce, zastanawia się Suchodolski m. in. nad stosunkiem jednostki do państwa, nad stosunkiem obywatela do ustroju państwowego. Oto co pisze na ten temat: „Jest ono i będzie coraz bardziej związane z aktywnością społeczną człowieka. Jego twórczy stosunek do kultury, do gospodarki, do innych ludzi stanie się najistotniejszym źródłem siły państwowej. Wychowawcze tezy nowej konstytucji stanowią w tej dziedzinie zasadnicze wskazania, którym pełną i wyraźną treść nadać może dopiero życie, budowane przez ludzi w tym duchu wychowywanych” (podkreślenia moje, j. w. str. 937).

Cóż to są owe wychowawcze tezy nowej konstytucji? O jakąż to nową konstytucję chodzi? Cóż ta deklaracja ideowa znaczy? Znaczy ona, że prof. Suchodolski stoi na stanowisku faszystowskiej konstytucji ozonowej. Znaczy to, że solidaryzuje się z metodami jej „uchwalenia”, jak również z zasadniczą treścią będącą podsumowaniem, zdobyczą faszystowskiej i hitlerowskiej myśli politycznej z uwzględnieniem specyficznych polskich warunków.



Przyjrzyjmy się tedy — jak to zagadnienie zostało rozwiązane w wydaniu II? Czy autor poddał swoje credo pedagogiczne krytycznej ocenie? Czy w nowej Polsce, która właśnie sanacyjną konstytucję z 1935 r. odrzuciła, poddał prof. Suchodolski publicznej analizie swój do gruntu antydemokratyczny sąd o pseudo-wychowawczych tezach sanacyjnej konstytucji w wychowaniu moralno-społecznym? Co w tym względzie napisał prof. Suchodolski w wydaniu „zmienionym i uzupełnionym”? Dosłownie — nie.

Rzecz jasna, nie należy dziś czynić autorowi zarzutów np. z powodu jego wczesnych zachwytów nad tak reakcyjnymi pedagogami jak Dewey, Kerschensteiner, Petersen itp. Ale nie wolno też przemilczeć faktu, że prof. Suchodolski należał do bardzo do bardzo nielicznych w Polsce pedagogów, którzy w sposób jawny, w razie entuzjastyczny lansowali u nas nieustannie i przez szereg lat myśl wychowawczą Gentilego, Krieka, pruskiego ministra oświaty Rusta (III Rzesza), bawarskiego ministra oświaty H. Schemma (III Rzesza). Cytując np. książkę Baldura v. Schirach pt. „Die Hitlerjugend“ nie ukrywał prof. Suchodolski swego entuzjazmu dla przywódcy hitlerowskiej młodzieży, gdy pisał w wydaniu pierwszym: „...tylko tam, gdzie w całym społeczeństwie dokonywa się jakaś wielka przemiana, tam tylko wytwarza się atmosfera sprzyjająca masowemu wychowaniu i w tym jednak gromadnym wychowaniu elementy intelektualne zyskują sobie doniosłą rolę. Kształcenie światopoglądowe (w duchu obowiązującej ideologii) stanowi często, szczególnie dla starszej młodzieży, ośrodek najbardziej intensywnych uczuć“ (j. w. str. 902).

W świetle przytoczonych cytatów oraz ich analizy porównawczej staje się także i tym razem zrozumiałe i jasne, dlaczego w wydaniu II nawet śladu tego ustępu nie znajdziemy, dlaczego autor nie ustosunkował się jakoś do swego przedwojennego kultu dla „najbardziej intensywnych uczuć“ starszej młodzieży Goebbelsa i Himmlera. Suchodolski słowa te po prostu starannie wykreślił wraz z nazwiskiem Schiracha, przywódcy młodzieży III Rzeszy. Autor nie znalazł słów potępienia dla najbardziej ponurego okresu w dziejach politycznych świata, w dziejach moralności i etyki. Nie wskazał nawet na kompletną deprawację moralną młodzieży hitlerowskiej.

Ale nie zawsze i nie wszędzie tak się dzieje w wyd. II „Wychowania moralno-społecznego“. Nie zawsze prof. Suchodolski tak postępuje. Bywa gorzej i — bywa inaczej. Autor zostawia po prostu bez zmian szereg ustępów. Kiedy to się dzieje? Kiedy profesor nie tuszuje i nie skreśla krzyjących i jaskrawych swych sformułowań? Odpowiedź damy znowu na przykładzie i na jego uogólnieniu.

Analizując wspólnotę narodową z punktu widzenia jej wartości wychowawczej, analizując wypowiedzi jednego z głównych i najwcześniejszych teoretyków pruskiego wychowania, P. Petersena (którego poza tym udestynował w redagowanej przez siebie „Kulturze i wychowaniu“, r. II, zesz. I), przytacza Suchodolski w pierwszym wydaniu swojej pracy najbardziej zasadnicze tezy faszystowskiej pedagogiki, poucza o fundamentalnych jej tezach naczelnych: rasie będącej zarazem tęsknotą do powinowactwa krwi, gotowości obronnej w czasach pokoju i w dobie wojny, która nadejdzie, o ocenie osobowości jako zdolności oddania się przewodnictwu i narodowi, wreszcie „religijności” pojmowanej jako służba narodowi, jako ogniwo hasła: Gott — Führer — Volk“.

Komentując te naczelne zasady wychowania głoszące hasła wspólnoty, pluga, miecza i sumienia (Rust), Suchodolski dodaje: „Wychowanie moralno-społeczne staje się w tych warunkach służbą narodowi i interesom państwowym. Z namiętności patriotyzmu i entuzjazmu nacjonalistycznego czerpie swa siłę“ (j. w. str. 920).

Ten rozdział i cytaty, którego odpowiednik w wydaniu II znajdujemy prawie bez jakichkolwiek zmian (str. 142), wskazuje na to, że oblicze polityczne autora sprzął lat 10, tylko wtedy podlegało cichej lecz radykalnej autokonfiskacji i radykalnemu zatarcu rysów co wyrazistszych, kiedy było dla czytelnika oczywiście widoczne i w swej ostrości najzupełniej ujawnione i obnażone. W wypadkach zaś, gdy autor referował w sposób „obiektywny“ rozdziały poświęcone wychowaniu hitlerowskiemu, gdy rozpuszczał je w ogólnikowej formie swoich wywodów i wtpiał w całość lektorskiej frazeologii pedagogicznej, wówczas taki rozdział przechodził do II wydania bez zmian. Tkwiąca implícite, odciedzona z gorączkowej i namiętnej frazeologii wojującego faszysty — taka teść pedagogiczna mógł Suchodolski spokojnie pozostawić, wyrzu-

ciwszy jednak — dosłownie! — w wydaniu II cały rozdział końcowy, noszący tytuł „Kilka zagadnień praktycznych“, ten właśnie rozdział, w którym autor przelożył na język praktyczny, na język wskaźników realnych, wszystkie w sposób zbyt ogólny lub mgławicowy wypowiedziane założenia „teoretyczne“. W wydaniu z 1947 r. nie znajdujemy ich więc wcale.

To salto profesora nasunąć musi bardzo poważne refleksje, które — zamiast wypowiedzieć je w formie ogólnej — uprzedzić czytelnikowi w sposób bardziej konkretny:

Przemawiając w wydaniu II językiem „społecznym“, „demokratycznym“ i „ludowym“, usunął profesor dwa po prostu kompromitujące go odsyłacze, które są doskonałym drogowskazem dla bardziej świadomego czytelnika. Dlaczego nie znajdujemy nawet ich śladu w wydaniu II? Bo prof. Suchodolski zatuszował i tym razem dwie bardzo ważne i poważne pozycje bibliograficzne związane z jego osobą, z jego przedwojennymi sympatiami, inklinacjami, no i postawą polityczno-pedagogiczną. Jeden z zatuszowanych odsyłaczy wiedzie nas do następującego cytatu:

„...W Italii wre dziś najbardziej optymistyczna w Europie praca życia i ducha. Pisze o niej... p. Bogdan Suchodolski po sumiennym przestudiowaniu literatury faszystowskiej (rzetelność chyba niecodzienna w stosunkach naszych). Że autor nie zachował może przy tym dostatecznego powściągliwości i obiektywizmu, tłumaczy się to łatwo tym, że uległ on niewątpliwie urokowi tej płomiennej ochoczości, jaką intelektualna młodzież włoska nad ledwie założonym kamieniem nowego życia Italii zatyka wysoko sztandar tego ducha, który już po trzykroć w dziejach odnowił świat“...

ANDRZEJ NOWICKI

## HISTORIOZOFIA CROCEGO

W ciągu dwudziestu lat — pisał Palmiro Togliatti<sup>1)</sup> wiosną, 1944 roku — Benedetto Croce posiadał jako champion walki z marksizmem szczególny przywilej. Za otwartą kolaborację faszystom pozwalał mu od czasu do czasu na lekkie draśnięcie reżimu. Przeciwników Crocego zmuszono gwałtem do milczenia: mogli więc spokojnie, bez odpowiedzi, wygłaszać sobie antymarksowskie kazania w cieniu różg liktorskich; niekwestionowany towar rozchodził się. Podjęcie się tej funkcji w tym czasie, kiedy nam, marksistom, przemocą odebrano głos, prześladować i pozbawiać życia najlepszych spośród nas, jest plamą moralną, której nie możemy Crocemu zapomnieć i której nie będzie on mógł ze siebie zetrzeć“.

Nie tylko jako filozof-idealista był Croce pomocnikiem faszystów. Także jako „obiektywny“ historyk Croce schlebiał faszystom i oddawał mu cenne usługi. Jego „Historia Włoch“, napisana w roku 1927, doczekała się za dyktatury faszystowskiej ośmiu wydań. Ośme wydanie ukazało się w pamiętnym lipcu 1943 roku, kiedy Mussolini, poszedł za kraty a Croce, zachęcony przez szefa amerykańskiego wywiadu, generała Donovan<sup>2)</sup>, porucił filozofię i historię dla polityki. Z wydawcą swoich „Dzieł Wszystkich“, liczących 55 tomów (26 tysięcy stron), Giuseppe Laterza i paroma innymi znanymi osobistościami reprezentującymi świat kultury, banki, przemysł i wielką własność ziemską, wskrzesił Croce z popiołów „Włoską Partię Liberalną“ i zażądał dla niej partycypacji w szóstopartyjnym antyfaszystowskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego. Do wyborów 1946 roku utrzymywała się zasada partycypacji, mocą której liberalowie mieli tyleż mandatów, co wielokrotnie liczenie od nich komunistów. W zeszłym roku Croce zrezygnował ze stanowiska prezesa partii, które zresztą nie musiało zajmować mu zbyt wiele czasu, skoro w wolnych chwilach napisał kilka nowych tomów „różnej filozofii“<sup>3)</sup>.

Wróćmy jednak do roku 1927, w którym 61-letni Croce (jak łatwo można obliczyć, w lutym br. skończył 83 lata) pisał swoje „Dzieła Włoch“. Bohaterami tej książki są dwie osobistości, którym Croce poświęca osobne, centralne rozdziały: premier Crispi i filozof Croce. Przez wrodzoną skromność, Croce, pisząc o sobie jako o centralnej postaci; dziejów Włoch, nie wymienia ani razu swego nazwiska, ukrywając się pod omówieniami w rodzaju: „jeden uczonej z Neapolu“ (str. 255). Pragnąc jednak ułatwić potomności odgadnięcie, kim był ów wielki uczonej, podaje w indeksie na końcu książki pod „Croce“ numer strony, na których pojawia się jako bohater swej książki.

Dlatego ów „uczonej z Neapolu“ odegrał tak wielką rolę w dziejach Włoch? Dlatego,

Kto to pisał?! To nie jest ironia ani złośliwość z naszej strony. Te charakterystykę należy wziąć dosłownie. Tę bowiem znamienne charakterystykę prof. Suchodolskiego podał nie dzisiejszy przeciwnik polityczny ani też współczesny wróg ideologiczny! Odwrotnie, pochodzi ona od starego przyjaciela, od redaktora „Pamiętnika Warszawskiego“, tego samego, który ze względów rasowych nie chciał drukować wierszy Tuwima i Słonimskiego.

Charakteryzując w dalszym ciągu pierwsze w dziejach kultury polskiej entuzjastyczne wystąpienie, poświęcone faszystom, redakcja „Pamiętnika Warszawskiego“ (zesz. IV, Warszawa, 1929 r. str. 233), pisała: „Toteż słusznie i dobrą intuicją wiedziony podkreślił Suchodolski na marginesach owej myśli faszystowskiej zdumiewające w tak krótkim czasie rezultaty organizacyjnego geniuszu Mussoliniego i jego towarzyszy w istnym przetwarzaniu dóś zatechłego przed wojną życia Włoch. Nas interesują tu przede wszystkim rezultaty osiągnięte w dziedzinie oświaty i śmiało podjęte zagadnienie pieczy nad życiem duchowym warstw wszystkich oraz nad przyszłą twórczością Italii...“ Tak pisali o Suchodolskim przyjaciele. Trudno oprzeć się uzasadnionej potrzebie zacytowania fraszki znanego satyryka:

„Ten pisarz słowa hańbił na tyra-  
nii służbie,  
A gdy wolność wybuchła — czy ma iść  
po prośbie?  
Tłumaczy swoje dzieła w słodkiej  
nawrotności,  
Dziś z języka faszystów na język  
wolności“.

Możnaby na zestawieniu cytatów z dwu wydań studium prof. Suchodolskiego oraz na analizie dwu przytoczonych opinii wła-

ściwie skończyć, aby mieć wystarczająco dokładne wyobrażenie o obliczu moralno-społecznym oraz naukowej i politycznej postawie autora „Wychowania dla przyszłości“. Czytelnik mógłby jednak dojść do przedwczesnego wniosku, że prof. Suchodolski był po prostu — faszystą. Wniosek taki byłby przecież pochopny i dlatego należy poświęcić więcej nieco uwagi tej sprawie.

Sposób pisania i język prof. Suchodolskiego jest tego rodzaju, że zawsze znajduje się tam furtka w postaci tzw. „obiektywnego zreferowania“ tego lub owego stanowiska. Ten styl i sposób referowania zmusza do przestrzeżenia czytelnika przed przedwczesnym wnioskiem politycznym. Prof. Suchodolski nie był faszystą, był raczej faszystoidem. Ale w jednym i w drugim wypadku skutek polityczny był zawsze jeden i ten sam. Zarówno faszystoidzi uzbrajali uzbrawiali „ludzi marginesu“ Polski przedwrześniowej w argumenty „ideologiczne“, dawali im do ręki broń dla „akcji bezpośredniej“, o której z nieukrywaniem entuzjazmem pisał nie jeden raz profesor. Faszystoidzi uzbrajali uzbrawiali polską reakcję w „argumenty“ przeciw demokracji, przeciw klasie robotniczej, jej walce politycznej i ekonomicznej, przeciw marksizmowi.

Dlatego zgodnie z zapowiedzią po raz trzeci należy wrócić do cytowanego artykułu profesora o faszystach. W artykule tym znajdziemy zawsze jakąś furteczkę, jakiś ale, jakiś „swoje“ dodatkowe stanowisko, z którego wynika, że autor nie jest stuprocentowym faszystą. Studium bowiem pt. „Dzisiejsza ideologia faszystów“ jest klasycznym wprost przykładem nie faszystowskiej lecz właśnie faszystoidalnej postawy profesora.

Ignacy Szaniawski  
(Dokończenie w n-rze następnym)

że położył kres pewnej epoce. Było bowiem tak: najpierw był romantyczny mesjanizm (1830—1870), potem pozytywizm (1870—1890), potem marksizm (1890—1900), którym przesłania nie tylko polityka, ale cała kultura włoska. „Cała myśl i cała kultura włoska były przeniesione przez socjalizm marksistowski“ — pisał Croce (str. 164). I byłoby nie wiem co, gdyby nie zjawili się bohater, który poddał rewizji wszystkie podstawowe tezy Marksa, wykazując ich nienaukowość (str. 169—170). Bohaterem tym był, jak się można przekonać z indeksu osób, sam Croce, z którego później czerpał argumenty do rozprawy z marksizmem Sorel, Bernstein i inni (str. 170), w rezultacie czego „socjaliści włoscy wyrzucili Marksa na strych z rupieciami“ (str. 170). Wtedy przyszedł drugi bohater „Historii“ Crocego, mianowicie Crispi, i przystąpił do likwidacji watościwego ruchu robotniczego. To, czego Croce dokonał w płaszczyźnie teoretycznej, Crispi chciał naśladować w płaszczyźnie praktycznej. Dlatego po rozdziale V o Crocem, następuje rozdział VI o Crispim. Cała bieda w tym, że biorąc rzecz chronologicznie, Crispi był przed Crocem. Heglista Croce nie zraża się takimi drobiazgami. Logicznie był pierwszy, a jeżeli faktycznie pierwszym był Crispi, to tym gorzej dla faktów. Z powodu głupich i złośliwych faktów, filozof nie będzie psuł pięknej i zaszczytniejszej dla siebie konstrukcji książki.

Kto zna literaturę włoską, ten wie, że poza sensem literalnym zawiera ona jeszcze sens alegoryczny, moralny, filozoficzny — taka Beatrice dantejska jest jednocześnie włoską dziewiczką i świętą Teologią i, jak to wykrył Byron, personifikacją matematyki. To samo jest z „Historią“ Crocego. Myślisz sobie, naiwny czytelniku, że jak w tekście stoi jak wół nazwisko „Crispi“, to Croce pisze o Crispim. Cóż za prostactwo! Cała fabuła o Crispim to alegoria: książka jest o kimś innym, znacznie bliższym naszej epoce. „Historia“ Crocego pisana w roku 1927, w cieniu zakwitających różg liktorskich, nie jest książką o Crispim, lecz stanowi panegiryk na cześć Mussoliniego.

Treścią książki nie jest więc likwidacja socjalizmu przez „jednego uczonego z Neapolu“ i premiera Crispiego, lecz przez Crocego i Mussoliniego.

Crispi został premierem w roku 1887. Tworząc rząd, wziął sobie prócz premierostwa, jeszcze dwie teki: ministra spraw wewnętrznych i ministra spraw zagranicznych. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w roku 1922, po „marszu na Rzym“, Mussolini tworząc rząd wziął sobie te same dwie teki, co 35 lat przed nim Crispi. Obaj po utworzeniu rządu, otrzymali oklaski liberałów. „Teraz Włochy czują, że znajdują się w dobrych rękach i są silnie rządzone“ — pisał Croce (str. 174). O kim pisze o Crispim? Pozornie tak, nie zapominajmy jednak, że Croce pisze to w roku 1927, w okresie wydawania praw wyjątkowych przeciw działaczom robotniczym, w okresie zapelniania więzień komunistami, w okresie zakwitania różg liktorskich. Croce pisze o Mussolinim: „teraz Włochy znajdują się w dobrych rękach!“

Było niewątpliwie wielu przeciwników (Crispiego? Mussoliniego?) i przeciwne były

„być może“ „masy“ (słowo „masse“ bierze Croce w ironiczny cudzysłów), „ale masy nie liczyły się i nie liczą“ (nie liczyły się za czasów Crispiego i nie liczą się teraz, w roku 1927, za czasów Mussoliniego, Croce, str. 206).

Obaj, Crispi i Mussolini, kochali się w hałaśliwych i kosztownych — choć pozbawionych smaku — dekoracjach. Crispi opracował projekt wybudowania nowego pałacu dla parlamentu, w którym miał stanąć poleźny tron z brązu i złota jako symbol wzniosłości i stałości monarchii (str. 179).

Na trzydziści kilka lat przed Mussolinim ogarnęło Crispiego pragnienie wskrzeszenia potężnego Imperium Romanum. Zaczął marzyć o podboju Afryki. 2 maja 1889 roku ogłosił Crispi protektorat Włoch nad Abisynią negusa Menelika. W roku 1895 okupacja włoska została rozszerzona aż po Adue, co doprowadziło Abisynczyków do ostateczności. Negus zebrał wojsko i 1 marca 1896 roku zadał Włochom klęskę. Oburzenie „niewdzięcznego motochu włoskiego“ — pisał Croce — tak struło Crispiego, że podał się do dymisji (str. 204).

Wzorem dla Crispiego był kanclerz Bismarck, Crispi „nie miał swego uwielbienia dla Bismarcka, ani żączyliwostki, jakie go z nim łączyły“ (str. 177). W październiku 1887 roku pojechał na awanturę do Bismarcka po instrukcje. Kanclerz Bismarck przyjął włoskiego premiera w Friedrichshagen. Szczegółowy wizerunek otoczony był tajemnicą, jedynie prasa niemiecka rozbrzmiewała hymnami pochwalnymi na cześć wielkiego włoskiego męża stanu, który zrozumiał, jak wielkie znaczenie posiada i będzie posiadała dla przyszłości Włoch ós Berlin — Rzym (str. 180, brak tylko wyrażenia „os Berlin — Rzym“, którego w roku 1927 nie mógł Croce wymyślić; zamiast tego jest stręta unione“ — „ścisła jedność Niemiec i Włoch w polityce europejskiej“).

Trudność była tylko w tym, że włoski premier „zamiast posługiwać się dla własnych celów niemieckim kanclerzem, służył niemieckiemu kanclerzowi“ (str. 182, o kim czytamy? o Crispim czy o Mussolinim?).

Crispi, wzorem Bismarcka, toczył z socjalizmem „Vernichtungskampf“ („lotta di sterminio“, walka zmierzająca do całkowitego zniszczenia przeciwnika, str. 200). Burżuazja włoska znalazła w nim „męża opatrnościowego“, który miał zatrzymać rosnącą falę socjalistycznego ruchu robotniczego.

Przed wszystkim trzeba było znaleźć pretekst do represji. Crispi umiał go znaleźć. Zatakował socjalistów za „antywłoskość“. Amerykański komitet do badania działalności „nieamerykańskiej“ ma precedens w słynnej mowie Crispiego, który określił wszelką działalność socjalistyczną jako „antywłoską“. „Socjalizm jest zaprzeczeniem wszelkiej wolności“ — mówił Crispi — „partia socjalistyczna ujmuje kwestię społeczną w sposób jednostronny, jedynie z punktu widzenia świata pracy. Partia socjalistyczna dąży do dyktatury, do dyktatury robotników nad właścicielami“. Socjaliści walczą z burżuazją, zapominając o tym, że „we Włoszech wszystko, co zostało zrobione, jest dziełem burżuazji: instytucje polityczne, niepodległość, jedność Włoch i swobody obywatelskie“.



Dla usprawiedliwienia represji trzeba było jednak poszukać argumentów cięższego kalibru: oskarżyć socjalistów o zdradę kraju. Oskarżył więc Crispi socjalistów włoskich o to, że są „agentami Moskwy — mamy rok 1894! — i że dążą do przyłączenia Sycylii do Rosji (str. 178).

Wyprzedzając — anachronicznie! — dzisiejszych reakcjonistów, Crispi miał przewidzieć, że rewolucja bolszewicka wybuchnie dopiero za 23 lata.

Jako rasowy reakcjonista, Crispi dążył oczywiście do Stanów Zjednoczonych Europy. Zjednoczona Europa miała być bastionem antyrosyjskim (str. 199).

Frapującą analogię między Crispim a Mussolinim wykazuje ich stosunek do Watykanu. Na trzydzieści kilka lat przed ateistą Mussolinim, mason Crispi pertraktował z Watykanem w sprawie zawarcia konkordatu (str. 186). Jak widać, nie można być autentycznym reakcjonistą bez szukania sojuszu z Watykanem.

Największe nasilenie represji przeciw ruchowi robotniczemu przypada na rok 1894. Robotnicy wysuwali niesłychane żądania: chcieli ograniczenia czasu pracy do dziesięciu godzin dziennie, domagali się zalegalizowania związków zawodowych, a na Sycylii urządzili nawet publiczną manifestację „z Marksem, królem Humbertem i Madonną”.

Mimo obrazów króla i Madonny policja oddała wiele salw do manifestującego tłumy; wybuchły rozruchy. „Zbawca ojczyzny”, Crispi, wezwał wszystkie partie reprezentujące interesy klas posiadających do „zawieszenia broni i sporów” oraz do wspólnej walki z robotnikami. Posłał na Sycylię (z której pochodził) generała pacyfikatora wyposażonego w nadzwyczajne pełnomocnictwa i polecił mu proklamować stan obłężenia, rozwiązać organizacje robotnicze i chłopskie oraz wyaresztować przywódców. Podobnie stłumił rozruchy w innych prowincjach włoskich. W tym miejscu swego opowiadania „obiektywnej” historycy, piszący w cieniu zakwitających różeg liktorskich, nie mógł się powstrzy-

mać od oklasków na cześć pacyfikatora: ruch socjalistyczny „zasługuje na to, żeby go zgnieść siłą” (merita di essere distrutto con la forza, str. 198).

Zwracam uwagę na czas terażniejszy. To było pisane nie pod adresem Crispiego, lecz stanowiło wyraz radości Crocego, że Mussolini wsadził przywódców włoskiej partii komunistycznej do więzienia. Represje Crispiego nie zdławiły ruchu robotniczego. Nie zdławiło też ruchu robotniczego dwadzieścia lat dyktatury Mussoliniego, który był drugim Crispim, jak De Gasperi jest trzecim. A marksizm, gruntułownie „obalony” przez Crocego, jest dziś we Włoszech tak żywy, jak nigdy przedtem. **Andrzej Nowicki**

ADAM WAŻYK

## Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

### TEATR WOJSKA POLSKIEGO „MŁODA GWARDIA”

„Młoda Gwardia” Aleksandra Fadiejewa jest jedną z najpopularniejszych radzieckich powieści o tematyce wojennej. Opierając się na autentycznych wydarzeniach, Fadiejew rozwinął w swojej powieści szeroki obraz życia i działania młodzieży w mieście okupowanym przez hitlerowców. Młodzież samorzutnie organizuje się do walki z okupantem, uporczywie szuka kontaktu ze szlabem partyzanckim, nabiera doświadczenia, męcznie, a niepostrzeżenie gromadzi najwykleszych chłopców i dziewcząt, przetrzymuje ich w grupie bohaterskiej. Ze specyficznych warunków życia radzieckiego wyrasta i zaczyna działać w momencie okupacji ruch oporu, który ma tak szeroką bazę społeczną jak w żadnym innym kraju, niezmiernie silne natchnienie ideowe, żywą tradycję partyzancką z czasów wojny domowej. Żywiłowy pęd młodzieży do organizacji, elastyczność form organizacyjnych, świadomy pęd do zespolenia się z ogólnym frontem walki — cechy te określają szczególny charakter radzieckiego ruchu oporu. Pierwszy odruch działania idzie w parze z myślą o odszukaniu kontaktu z organizacją partyjną. Dla młodej gwardii formującej się samorzutnie w okupowanym mieście, nawiązanie łączności z partią oznacza coś więcej niż akt legalizacji swego działania, oznacza zespolenie się ze świadomością i wolą całego narodu.

Szczególny charakter radzieckiego ruchu oporu wiąże się w powieści Fadiejewa z radzieckim spojrzeniem na człowieka, z podstawowym motywem dzisiejszej literatury socjalistycznej, którym jest proces rodzenia się i narastania bohaterstwa. Proces ten w powieści Fadiejewa staje się przykładowy i wychowawczy — na bohaterów urastają bowiem postaci ludzkie potraktowane konkretnie i typowo z całą charakterystyką codziennych upodobań i nawyków.

Powieść o młodej gwardii doczekała się w krótkim czasie kilku przeróbek scenicznych. Teatr Wojska Polskiego w Łodzi wystawił „Młodą Gwardię” w opracowaniu dramatycznym Gleba Grakowa. Powieść Fadiejewa dostarcza materiału do szeroko potraktowane-



„Młoda Gwardia” Aleksandra Fadiejewa w Teatrze W. P. w Łodzi. Od lewej wykonawcy słuchacze P. W. S. T.: H. Abbe, G. Zietkiewicz, B. Książkówna, S. Jasiukiewicz, D. Majda, H. Dąbrowska, B. Niurkowski, T. Pluciński, K. Kamińska, J. Mrozówna, M. Nowakowska. Reżyseria Ludwik René, opracowanie sceniczne Józef Rachwałski.

go widowiska, z szybkim przebiegiem wydarzeń, z dużą galerią postaci głównych i epizodycznych naszkicowanych paroma pociągnięciami. „Młoda Gwardia” w przerobce scenicznej staje się spektaklem dramatycznym rozłożonym na szereg krótkich scen, akcja częściowo wybiega przed kurylnę, zapelniając przerwy między odsłonami.

Przekład polski nie wypadł najlepiej. Tuż przed usztywnił język tekstu. Przekładał wiernie, ale nie liczył się z potocznym zastosowaniem słów, które bywa inne w każdym języku. Sztukę wystawiono wyłącznie siłami dyplomantów i uczniów Wyższej Szkoły Teatralnej, „Młoda Gwardia” jako sztuka wy-

magająca bardzo licznej obsady młodzieżowej jest wymarzoną warsztatem dla dyplomantów i trudno sobie wyobrazić, aby jakikolwiek teatr łódzki mógł ją wystawić siłami swego zespołu aktorskiego, ale nawet w ujęciu warsztatowym zazwyczaj w takich sztukach do ról trudniejszych powołuje się starszych, zawodowych artystów. Dlatego tym razem odstąpiono od tego zwyczaju, trudno zrozumieć. Dość, że młody debiutujący reżyser Ludwik René miał do pokonania szczególne trudności: ogromny zespół bez pomocy choćby jednego zawodowego artysty, sztuka narzucająca wielką odpowiedzialność ideową, sztuka wymagająca wzięcia się w

specyficzne cechy życia radzieckiego, tworzywo powieściowe wymagające odpowiedniej formy teatralnej...

I otóż niespodzianka... „Młoda Gwardia” wystawiona przez debiutującego reżysera wyjątkowo siłami dyplomantów i uczniów Szkoły Teatralnej okazała się jednym z najciekawszych, najżywszych spektakli bieżącego sezonu teatralnego w Łodzi. Co prawda, kandydaci na artystów pierwszy akt rozegrali zbyt surowo i szkolnie; zdawało się, że na skutek nieznamomości kraju, w którym odbywa się ta bohaterska sprawa młodzieży, nie mogą utrafić w charakter odgrywanych postaci; ale już w drugim akcie wrażenie to zatarło się korzystnie, grający weszli w swoje role, a w trzecim — byłem przekonany, że mam przed sobą zgrany od dawna, dojrzały zespół, dobrze wczuwający się w charakterystyczne cechy tych chłopców i dziewcząt przeniesionych z powieści Aleksandra Fadiejewa na scenę.

Myślę, że najwięcej w tym zasługi młodego reżysera, który tak potrafił pokierować zespołem. Ludwik René poprawił spektakl z nerwem i pasją, wykazał dużą orientację w temacie i charakterze sztuki radzieckiej, rozumnie operował efektami widowiska. Nie podobał mi się tylko styl ekspresyjnej groteski nadawany postaciom hitlerowskim, zwłaszcza żołnierzom niemieckim w scenie więziennej. Ten styl, nawet w małej dawce, raził mnie w tej sztuce, gdzie wszystko wydaje się bardzo prawdziwe i wszystko wymaga wielkiej prostoty wyrazu. Na ogół te surową prostotę młody reżyser potrafił utrzymać. Słowem, po tej śmiałej ogniewej próbie przybył Teatrowi Wojska nowy utalentowany reżyser o wybitnym zacięciu realizacyjnym.

Z zespołu dyplomantów szczególnie wyróżnili się: Stanisław Jasiukiewicz jako Oleg Koszewoj, Bogdan Niewinowski jako Sergiusz Tulenin, Danuta Majda jako Lubow Szewcowa, a w epizodach — Włodzisław Skoczylas jako Wasia Pierozek i Tadeusz Minc jako pułkownik. Dekorator Józef Rachwałski może zbyt oschle potraktował wnętrza, ale za to dobrze wywiązał się z zadania w scenach plenerowych.

LEON BUKOWIECKI

## NOWY FILM POLSKI

POD WZGLĘDEM kolejności ukazywania się na ekranach jest to szósty polski pełnometrażowy film powojenny. Zadaniem krytyka jest więc nie tylko sumienna ocena tego wydarzenia filmowego, ale i wyraźne umieszczenie filmu w skali dotychczasowych osiągnięć PFFP.

Film „Za wami pójdą inni”, mimo że nie jest dziełem na skalę „Ostatniego etapu”, jest niewątpliwie opracowany z talentem, i zarówno z punktu widzenia ideologicznego jak technicznego zasługuje na uwagę krytyki.

Postulat, który stanął przed „Filmem Polskim” już w zaraniu jego istnienia, było zrealizowanie filmu a raczej filmów odtwarzających walkę narodu polskiego z okupantem. To słuszne „zamówienie społeczne” spowodowało początkowe potknięcia: pierwszą wersję „Zakazanych piosenek”, której autorzy mimowolnie zaszkodzili filmowi starając się wcisnąć w ramy 3.000 metrów całą krwawą epopeję okupacji z powstaniem włącznie.

Skondensowanie tematu do jednego zagadnienia natychmiast postawiło dzieła „Filmu Polskiego” na forum międzynarodowym, gdyż zarówno „Ostatni etap” jak „Ulica Graniczna” świadomie wydzielały z okresu okupacji ściśle zamknięte, choć najbardziej wstrząsające przeżycia.

Scenarzyści filmu „Za wami pójdą inni” wyszli z tego samego założenia (zresztą pomysły został im dostarczony przez dwoje wybitnych publicystów). Chodziło o odtworzenie dzieł jednej z drukarni konspiracyjnych, w których drukowano organ polskiej lewicy podziemnej, „Gwardzistę”. Tyle jeśli chodzi o treść, ale treść ta — celowo i słusznie rzucana na właściwe podłoże, przeanalizowana w scenariuszu, dostosowana do ram realizmu — trafnie oddaje cechy charakterystyczne okupacji.

W polskim ruchu podziemnym istniał wyraźny podział polityczny idący w zasadzie po linii klasowego podziału społeczeństwa polskiego.

Ludzie przynależni klasowo lub ideologicznie do burżuazji, zapatrzeni w „Zachód” i zadowoleni w nawoływaniu radio londyńskiego głosił teorię „stanu z bronią u nogi” interpretowaną dla „tłumu” jako „ocze-



Ewa Krasnodębska (Anna)



Napad na straż niemiecką przy torze. W środku Kwiatkowski (Spryciarz), z prawej Karczewski.

kiwanie na cud”. Lewica polska, bojowa awangarda klasy robotniczej rzucała inne hasła: hasło walki czynnej z okupantem, hasło zbrojnej rozprawy z wrogiem i odwetu za jego masowe akcje eksterminacyjne.

Hasła te rzucała wywodząca się z KPP Polska Partia Robotnicza. Proletariat polski rozumiał, że nie ma osobnej walki o wolność narodową i osobnej walki o postęp społeczny, że oba te zadania występują nierozdzielnie razem i uzupełniają się wzajemnie.

Zgodnie z tym, zgodnie z przebiegiem historycznym film przedstawia oba tak odmiennie środowiska.

Praca, której podjęli się Antoni Bohdziewicz i Ariadna Demkowska, nie była łatwa. Wszyscy jesteśmy jeszcze pełni wspomnień okupacyjnych, na podstawie własnych prze-

jęci o zmaganiach z wrogiem i gotowi jesteśmy bronić swego, nieraz bardzo ciasnego punktu widzenia. Co więcej, oddalenie od wypadków historycznych zawsze je w pamięci ludzkiej wypacza, a precyzja aparatu konspiracyjnego ostatnich lat okupacji przesłania naiwne czasem początki, które są właśnie treścią filmu „Za wami pójdą inni”.

Zastrzeżenia płynące z tej strony byłyby więc niestosowne, niemniej autorzy scenariusza nie ustrzegli się przed pewnym przedawaniem filmu nadmierną ilością wątków i przed zbyt dużym rozłączeniem poszczególnych epizodów, co razem stwarza wrażenie kilku oddzielnych nowel. Wyraźnie odróżnić można w filmie następujące sekwencje: zawiązanie się akcji miłosnej, zorganizowanie drukarni przy Grzybowskiej, ukrycie Jakuba, łącznika Żydowskiej Organizacji Bojowej,

zamach na Cafe Club następujący w wyniku powieszenia 50 członków Polskiej Partii Robotniczej.

Nie jest to jednak zarzut decydujący. Tymczasowa szufladość naszych możliwości filmowych uniemożliwia nam tworzenie we właściwy sposób rozpracowanych dramatycznie poszczególnych ważnych akcji naszego podziemia, tak jak to ma możliwość zrobić kinematografia radziecka w filmach „Też za”, „Ona broni ojczyzny”, „Młoda Gwardia” i in.

Z tych samych powodów pewnej kondensacji uległy postaci bohaterów filmowych. Zgodnie ze źródłami historycznymi i z zasadami konspiracji nie zdarzało się, aby jeden człowiek pracował w tajnej drukarni, dokonywał napadu ekspresyjnego (na Trenhändera) i zamachu ofiutowego (na Cafe Club). Słuszne jednak jest zmniejszenie ilo-



ści osób w filmie wielowłokowym, gdyż w przeciwnym razie nie moglibyśmy dostatecznie zapoznać się z bohaterami.

Podkreślić trzeba wyjątkową wartość tego filmu, który ukazuje bohaterów socjalistycznych, ludzi bezkompromisowych, ideologicznie mocnych i moralnie czystych, ludzi, którzy niewątpliwie mogą służyć przykładem gorącego patriotyzmu i ducha bojowego. Jest to pierwszy polski film powojenny, który nie zadawała się postaciami, „sympatycznymi”, lecz tworzy ludzi. Pomijam tutaj „Ostatni etap”, który rozgrywał się w innym wymiarze, w wymiarze obozu totalnej zagłady.

Przekonywującą siłę tych ludzi ukazuje film w postaci Anny, która z głupięcej panielki z dobrego domu przeradza się w bojowniczkę, oraz w postaci zecera Konstantego, który także przyłącza się do ruchu rewolucyjno-wolnościowego.

W tajnej drukarni na Grzybowskiej pracują ludzie, których postawa społeczna jest wyraża. Artur, zecer, prowadzi placówkę. Jego pomysły, spokój i ofiarność usprawiedliwiają zaufanie partii. Obok niego z całym entuzjazmem i poświęceniem wykonuje odpowiedzialne zadania Katarzyna, kobieta, która stawia pracę w konspiracji nad jakimikolwiek sprawami prywatnymi czy rodzinnymi. Maż jej jest w oddziale leśnym Gwardii Ludowej.

Trzecią główną postacią jest Wladek, najmłodszy z trójki obsady drukarni. Jemu to wypadałoby być spokojnym, dostojnym życiem burżuazji, z ludźmi, którzy w lepszym wypadku „zachowywali siły”, w gorszym uważali, że właściwym sposobem przeżycia okupacji jest nieobowiązujący han-delek z okupantem. Nie szkodziło im nawet, jeśli wśród przedmiotów handlu znajdowały się rzeczy zrabowane z ghetto. Wladek rozumie, że musi odciąć się od takiego otoczenia i nie waha się porzucić narzeczoną.

Obok nich: jeden z kierowników ruchu konspiracyjnego, dalej kierownik kompletu, riksarsze rozwijające gotowe numery „Gwardzisty” i wielu innych ludzi wykazuje głębokie zrozumienie nadchodzących przemian politycznych i społecznych.

Realizatorzy filmu pokazali, że niemieńska wyżyźniła drugie środowisko, to, które „lagodne” formy współpracy z okupantem łączyło z oportunistycznymi hasłami konieczności przetrwania. Przedstawicielką tego typu jest Janka, są poniekąd rodzice Anny, którzy przechowanie człowieka potrzebującego pomocy uważają za akt wstępną i godny pojęcia.

W filmie tym występują także Niemcy. Przypada im, że w charakterystyce postaci Niemców mamy znów duży krok na przód: w niektórych momentach ulica warszawska przedstawiona jest ze wstrząsającym realizmem a poszczególne Niemcy są prawdziwi i mówią bardzo dobrze w swoim języku. Można przypuszczać, że Niemcy o peretkowi są na zawsze wykreślieni z polskiej twórczości filmowej.

Wrażeniem niespotykanym jest, wprawdzie postaci dziecka, które gra okropnie, mówi całkiem nienaturalnie i wprowadza zamieszanie do całego epizodu.

Niedopatrznie w niektórych szczegółach i zbyt nagłe, logicznie niepowiązane przejścia stanowią jedną poważniejszą usterkę filmu. Niektóre sceny rozpoczynają się bez należytej ekspozycji, wskutek czego nie rozumiemy, gdzie jesteśmy i jakie stosunki łączy poszczególne osoby. Nie wiadomo, w jakim mieszkaniu spotykają się Artur, Katarzyna, Pietrek, kim jest starsza kobieta, która szyje na maszynie, czyje jest małe dziecko, dlaczego w dialogu słyszymy, że ktoś bli-ski siedzi na Szuca a bezpośrednio potem dowiadujemy się, że „chwala Bogu, jesteśmy wszyscy razem”.

W kilku miejscach obserwujemy niedoścignięcia ze strony „script-girl”, osoby odpowiedzialnej za taki sam wygląd aktorów i przedmiotów w bezpośrednio po sobie następujących scenach. Nie są to jednak sprawy, które mogą zaciemnić ogólne dodatnie wrażenie z filmu. Może trochę nawiąże dwa razy powtarza kierownik tajnych komitetów: „ostrożnie, wychodźcie parami!” Można by to uzupełnić humorystycznie, szepcąc „w Warszawie są Niemcy”.

Tutaj trzeba jednak podkreślić, że pomimo międzynarodowych sukcesów, wszystkie filmy „Filmu Polskiego” ze względu na szczupłą garstkę scenarzystów i reżyserów, są w dużej mierze eksperymentami. Nakreca się wielką ilość taśmy, przez to zadanie montażu nie polega na wyborze najlepszych wersji identycznych scen, ale na wyławianiu spośród pokątnej ilości materiału odmiennych scen najbardziej zgodnych z całym scenariuszem. Montaż składa się więc z dwóch czynności: z eliminacji nadmiernego materiału i z — chwilami sztucznego — łączenia pozostałych materiałów.

Taki system pracy odbiło się naturalnie na stronie dramatycznej filmu, której przecież ostateczny wyraz nadał zawsze montaż, co już stwierdził niejednokrotnie Dżiga Wertow, Eisenstein i René Clair.

Jak dotychczas montaż jest nadal najsłabszym punktem fabularnej polskiej produkcji powojennej.

Usterki montażowe nie przesłaniają jednak znacznych osiągnięć reżyserskich Bohdziewicz. Film jest na ogół płynny, stosunkowo dużo jest w nim powietrza, doskonale rozpracowana scena zbiorowa, szczególnie łan-pianka przed Jabłkowskimi i panika po zamachu na Cafe Club. Po filmie „Rzym mia-sto otwarte” jeszcze raz potwierdza się, jak doskonale w filmie „gra” ulica w ruchu.

Duży postęp widać także w scenach atele-rowskich. Bohdziewicz — może dzięki długo-letniemu doświadczeniu w słuchowiskach — potrafił w znacznej mierze uniknąć teatral-ności przesładującej przed wojną film polski. Rozmieszczenie postaci w klatce filmowej jest zupełnie trafne. Ujęcia dają aktorom

swobodę ruchu, uniemożliwiają przegranie się w zbliżeniach.

Doświadczony nawet krytyk, nie znający reżysera, nie może w tym wypadku doszukiwać się błędów debiutanta. Przeciwnie — robota reżyserska jest świadoma, zgodna z ideologicznymi założeniami filmowymi, ciekawa i zupełnie nie formalistyczna.

Z dużym wyczuciem prawdy i ze zrozumieniem praw dramaturgii filmowej położył reżyser nacisk na mocną, wstrząsającą scenę powieszenia 50 członków lewicowego podziemia. Scena ta została potraktowana z takim i umiarem, doskonale skomponowana fotograficznie i głosowo ze speakerem odczytującym listę powieszonych. Dzieki temu scena nie jest dramatyczna, reżyserowi udało się w tej koncepcji odbiec daleko od występujących nieraz w filmach okupacyjnych tenden-cji naturalistycznych.

Praca operatora jest bezbłędna, przy tym także i tutaj sceny plenerowe biorą górę nad atelerowymi. Początek filmu bardzo sugestywny, zdjęcia wieczorne czyste, oświetlenie prawidłowe, wykorzystanie ruchu poślugu dobre.

Ilustracja muzyczna Kazimierza Serockiego, oparta przeważnie na jednym trafnym motywie powtarzającym się dość rytmicznie w wielu miejscach filmu przy ciekawych zmianach instrumentacji i natężeniu dźwięku — na ogół całkiem dobra.

Słyszalność dialogów zależy niestety od kin. W dobrej aparaturze niektórych kin pol-skich dialog jest zupełnie czysty i całkowicie zrozumiały. Niestety, w wielu kinach dzieje się wprost przeciwnie. Sądzę że należałoby przejrzeć niektóre instalacje głośnikowe.

Dekoracje zajmują w tym filmie stosunkowo mało miejsca. Zarówno jednak sceny zewnętrzne w rekonstrukcjach na placu łódzkiego atelier jak i wnętrza są wykonane sumiennie.

Na specjalną uwagę zasługuje podwórze przy ulicy Grzybowskiej zestawione z rekon-strukcją oraz w środkowej części z makiety, znakomicie zharmonizowanej z dekoracją plastyczną. Osiągnięto całkiem ładne zdanie rzeczywistości.

Reżyser zrobił ciekawe doświadczenie, angażując do ról głównych aktorów, którzy nigdy nie występowali przed obiektywem lub nawet nie mają żadnego doświadczenia scenicznego. Wszyscy spełnili całkiem po-kladane w nich nadzieje. W filmie mamy do czynienia z minimum okropnego deklama-torstwa, które zniszczyło „Stalowe serce”, a nie ma w nich zupełnie ciężącego tradycje na naszych filmach „zgrzywania się”. Role o-pracowane są doskonale od pierwszoplano-wych aż do całkiem małych epizodów. Nie-sposób jednak nie wymienić Lecha Madaliń-skiego (Artur) i Celiny Klimczak (Katarzyna), którzy są „pierwsi między równymi”.

Analiza wydobywa na jaw wybitne osią-gnięcia tego filmu. Prawidłowo wybrany te-mat, silny przekaz ideologiczny, właściwa budowa charakterów ludzi walki, podkreślenie kontrastu między czynem a inercją oraz rozmięśnienie akcentów na najważniejszych fragmentach scenariusza — to cechy decy-dujące o wartości filmu.

Usterki dramatyczne, niedociągnięcia w scenopisie i zaciemnienia niektórych momen-tów montażu nie mają istotnego znaczenia.

Przypuszczać należy, że film „Za wami pójdą inni” będzie w tym roku (tak jak inne w poprzednich) godnie reprezentował kine-matografie polską na jednym z prestiżowych festiwalów. Film ten w jasny sposób od-cina się od błahych, płaskiej, antyludowej ten-dencji większości filmów zachodnich i wciela w życie najważniejsze postulaty socjalistycznej sztuki filmowej.

Leon Bukowiecki

„ZA WAMI PÓJDA INNI”

Scenariusz według dostarczonego pomysłu i scenopisu: Antoni Bohdziewicz i Ariadna Demkowska, współpraca przy dialogach: Ta-deusz Borowski, reżyseria i montaż: Antoni Bohdziewicz, zdjęcia: Stanisław Wohl i Se-weryn Kruczyński, muzyka: Kazimierz Se-rocki, dekoracje: inż. Antoni Radziłowicz.

W rolach głównych: Ewa Krasnodębska (Anna), Celina Klimczakówna (Katarzyna), Władysława Nawrocka (Janka), Adam Ha-nuszko (Wladek), Jan Ciecierski (zecer Konstanty). Zdjęcia Kaczeński (kierow-nik oddziału walki czynnej), Lech Madaliń-ski (kierownik drukarni, Artur) i inni.

PRZEGLĄD PRASY

MORAŁ DANYCH STATYSTYCZNYCH

PISALEM niedawno, że w niedzielę czytuje „Słowo Powszechne”. Tak mam zwyczaj. Uczyniłem to i tej niedzieli, dnia 8 maja. Była to jak wiadomo niedziela prasy. Z tej okazji „Słowo Powszechne” umieściło na stronie pierw-szej fotomontaż z tytułowych stron ga-zet i pism literackich, ukazujących się w Polsce w roku 1949. Oto tytuły tych pism — wyliczam je starannie, w tej kolejności, w jakiej figurują na zdjęciu: „Ty-godnik Powszechny”, „Kółko Różańco-we”, „Dziś i Jutro”, „Salwator”, „Tygo-dnik Katolicki”, „Słowo Powszechne”, „Królowa Apostołów”, „Znak”, „Gość niedzielny”, „Głos Karmelu”, „Homo Dei”, „Rycerz Niepokalanej”, „Prze-gład Powszechny”, „Posłaniec Serca Maryi”, „Lad Boży”, „Ateneum Kapłańskie”. W artykule „Na dzień Prasy”, umieszczo-nym w tym samym numerze „Słowa Powszechnego” czytamy: „Zdjęcie na i sto-ronie przedstawia pewną część wychodzą-cych w Polsce periodyków katolickich...”

A więc są poza wymienionymi przeze mnie powyżej pismami jeszcze i inne! Znaczyło by to, że prasa katolicka w Pol-sce rozwija się świetnie na wszystkich szczeblach, od poważnego „Prze-gładu Powszechnego” i „Tygodnika Powszechno-go”, poprzez sięjące ciemnotę pisma de-wocyjne, aż do dziennika „Słowo Powsze-chne”. Warto tu przypomnieć, że prasa świecka redagowana z punktu widzenia nowoczesnej wiedzy o świecie, zwłaszcza ta, która winna docierać do najszerzszego mas czytelników, jest o wiele skromniej-sza i mniej powszechna. Oto taktyczny stan prasy w Polsce.

W artykule Zbigniewa Mitznera „Czety-rzy miliony dziennie” zamieszczonym w nr 19 „Odrodzenia” znajduję m. in. statystykę ilustrującą tę ciekawą pracę. W roku 1948 liczyła ogólna czasopiśmi-wość w Polsce (poza pismami codzien-nymi) wynosiła 221.811.000. Oczywiście w skład tej liczby wchodzi niestety wszystkie numery „Rycerza Niepokala-nej”, które, jak wiemy, nie niosą światła swoim czytelnikom, lecz wprost przeciwnie — ciemnotę, cieniu nie mogą zaprzecz-yć nawet wierzący, inteligentni katolicy.

Dane statystyczne są zawsze bardzo interesujące, ale humanista interesuje przede wszystkim ich treść. Mitzner bar-dzo rozsądnie czyni, gdy zestawiając dane statystyczne sprzed wojny z danymi sta-

tystycznymi powojennymi — dane te wskazują na spadek ilości tytułów — stwierdza, iż nie ze zmniejszonej ilości tytułów należy wyciągać wnioski o stanie naszej prasy, ale ze zwiększonej ilości nakładu. A te dane są niezmiernie pocieszające. Dzienny nakład gazet w roku 1949 wynosił przeszło 4.000.000 egz. w roku 1937 wynosił 1.360.000. Nakład pism po-pularnych również jest imponujący. „Przyjaciółka” — choć nie obdarzam jej szczególnie przyjaźnią, gdyż zdaniem moim zbyt nieśmiało pokonuje zakorzenione malomieszczańskie nawyki w sprawach kulturalnych — osiągnęła imponującą wy-sokość nakładu—1.700.000 egz. „Dziennik Literacki” — a więc pismo dość specjal-ne — 125.000 egz. Mitzner w swoim ar-tykule postawił więc tezę bardzo słuszną, gdy chodzi o moral, jaki wynika z da-nych zawartych w roczniku statystycz-nym. Mniejsza ilość tytułów, ale niepo-mierny, nie dający się z niczym porów-nać wzrost nakładów prasy codziennej, a także nienotowany nigdy dotąd w Pol-sce wzrost nakładów pism periodycznych poświęconych sprawom kultury.

Jednej rzeczy tylko Mitzner nie uczynił, a jak sądzę uczynić to należy. W o-gromnych nakładach jakiś — i to pewnie nie - mały — procent stanowią pisma w rodzaju „Rycerza Niepokalanej” czy „Bractwa Różańcowego”. Z punktu widze-nia statystyki nie ma to znaczenia. Kie-dy jednak piszę o tych sprawach w pi-smie ideologicznie przyzwoitemu do obozu postępu i oświaty, nie mogę o tym za-pomnieć. Myślę, że nie należy o tym za-pominać i że trzeba z ogólnych imponują-cych cyfr świadczących o rozwoju oś-wiaty w Polsce skreślić pewien odsetek obejmujący dewocyjną, szerzącą zabobo-ny prasę religijną. Jeśli istnieje swoboda wydawania tej prasy, to powinna również istnieć swoboda wypowiedziania się na te-mat jej wartości. W moim głębokim prze-konaniu prasa dewocyjna jest jeszcze szkodliwsza od poważnej prasy klerykal-nej choćby dlatego, że dociera do czytel-nika mniej uświadomionego i bardziej bezkrytycznego. Nie mam czystego su-mienia, gdy myślę o dziesiątkach tysięcy egzemplarzy „Rycerza Niepokalanej” czy „Gościa Niedzielnego”, riosących przesąd i ciemnotę tam, skąd je staramy się usu-nąć.

NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH

TEATRALNA BIBLIOTEKKA ŚWIETLIOWA

Brak repertuaru dla teatralnych zespołów świetliowych był u nas do niedawna notoryczny i dotkliwy, lecz zarazem — zrozumi-amy. Repertuar taki może powstać z realnej potrzeby, z konieczności bieżącej, skoro zaś dawniej w Polsce przedwrześniowej, tego rodzaju potrzeby nie istniały, nie było i repertuaru odpowiedniego dla zespołów ochot-nicznych pod względem ideologicznym i arty-stycznym. Prawda, zakładano i przed wojną tu i ówdzie „kółka amatorskie”, które zajmo-wały się wystawianiem drobnych przeważnie utworów scenicznych, wychwytyjących je gdzie i jak się dało, produkcje te miały jednak na celu głównie zaspokojenie ambicji

domorosłych talentów, a nie planową, maso-wą i zorganizowaną akcją, służącą sprawie podniesienia kultury teatralnej wśród zro-żekich mas ludzi pracy.

Przebudowa społeczno-gospodarczego ustro-ju Polski i jej konsekwencje zrodziły i w dziedzinie kulturalnej nowe potrzeby i za-mówienia zbiorowe. Powstające coraz licz-niej zespoły świetliowe mają dziś na wido-ku nie tylko cele rozrywkowe, lecz przede wszystkim — upowszechnianie kultury wspartej o wyraźny pion ideologii postepo-wej i demokratycznej, toteż zespołom, pojmującym swe zadanie w taki właśnie sposób, nie może wystarczać repertuar dawny — o charakterze mieszczańskim, bezideowym, czę-stokroć bardziej niż wątpliwy w sensie czy-sto artystycznym.

Zdając sobie sprawę z tych braków i nie cierpiących zwłoki potrzeb, Wydział Kulturalny Centralnej Komisji Związków Zawo-dowych zainicjował bardzo pozytywne wy-dawnictwo w postaci „Biblioteczki Świetli-kowej”, zawierającej materiały tekstowe do widowisk scenicznych dla zespołów amato-rskich. Dotychczas ukazało się około 20 este-tycznie wydanych tomików z utworami auto-rów polskich (Orzeszkowa, Prus, Konopnicka, Żeromski) i obcych (Czechow, Aragon, Sa-lacrou, Maupassant, Priestley). Są to albo utwory, napisane w oryginale dla sceny, albo też — przeważnie — adaptacje, skróty lub fragmenty nowel i opowiadań, odpowied-nio udratunizowane. W paru wypadkach da-no poprostu wyjątki z większych dzieł sce-nicznych. Dobór tekstów nie budzi na ogół zastrzeżeń, przeróbki są staranne i przysto-sowane do możliwości inscenizacyjnych ze-społów świetliowych. Na dobro wydawców pisać należy, że każdy tekst zaopatrzone jest we wstęp, charakteryzujący pokrótce autora, i dany utwór, oraz w dokładne wska-zówki reżyserskie i techniczne, ułatwiające realizację widowiska. Całkiem na miejscu wydają mi się przesyły, w których znajdu-jemy obce słowa i nazwy w wymowie pol-skiej choć ten usus, niestety, nie we wszyst-kich tomikach jest praktykowany „Biblioteczka Świetliowa” redagowana umiejętnie i konsekwentnie odda z pewną-ścią niemałe usługi robotniczym i chłopskim zespołom scenicznym. Jest ona realizacją

Ukazał się numer 3 (34) czasopisma naukowego „MYŚL WSPÓŁCZESNA”

Treść numeru:

ARTYKUŁY

- Przed Kongresem Pokoju
- Odezwa Międzynarodowego Komitetu Łączności Intelktualistów w obronie pokoju.
- Apel Krajowej Rady w obronie pokoju.
- Jerzy Borejsza — Bronimy pokoju (Przemówienie na Krajowej Naradzie w obronie pokoju).
- Maurice Cornforth — O pragmatyzmie.
- Władysław Krajewski — Dialektyka fizyki współczesnej.

- Dr Celina Bobińska — Marks i Engels o sprawie Polski.
- Dr Marian Muszkat — Zagadnienie sytuacji prawnej Niemiec.

KRONIKA ZNP

Z prac Sekcji Szkół Wyższych ZNP w Krakowie.

RECENZJE

- Dr Henryk Raort — H. Wereszycki „Historia Polski 1864—1918”
- Dr Henryk Batowski — List do Redakcji.

Adres Redakcji, Warszawa, Narbutta 8, m. 6, Tel. 413-67

Adres Filii Łódzkiej Łódź, Piotrkowska 86, Tel. 254-20

Redaktor naczelny przyjmuje w soboty, godz. 12—13.  
Sekretarz Redakcji przyjmuje w czwartki, piątki, soboty, godz. 11—14.  
Adres Administracji RSW „Prasa”, Warszawa, Smolna 12  
Cena egzemplarza zł 100. Prenumerata kwartalna zł 250, roczna zł 1.000. Pre- numerata ulgowa dla pracowników naukowych i nauczycieli, kwartalna zł 190, roczna zł 750 (konto PKO I-1374)



slusnej zasady, ze poki nie zjawia sie utwo-  
ry nowe, tworzone pod katem potrzeb maso-  
wego widza, korzystac nalezy na razie z  
przerobek i adaptacji repertuaru dotychcza-  
sowego i dostosowanego do potrzeb teatrów  
swietlicowych. **bd.**

Wladyslaw Smoleński „Kuznica Kola-  
tajowska”. Studium historyczne. Z  
przedmowa dr. Zanny Kormanowej. —  
Warszawa, „Książka”, 1949 — str. 174  
i 2 nlb. i tabl. 1.

Praca znanego historyka Wladyslawa Smo-  
lenskigo wydana byla po raz pierwszy w  
r. 1885, tj. przed 60 z gora laty. Te dziesiecio-  
lecia nie zdezaktualizowaly jednak bynaj-  
mniej studium historycznego o „Kuznicy Kola-  
tajajowskiej” i nie odebraly wartosci nauko-  
wych ksiazke, bedacej cennym zrodlem do  
poznania dziejow polskiej myśli postepowej,  
polskiego jakobinizmu.

Na ten walor aktualnosci pracy Smoleń-  
skiego slusnie zwraca uwage w obszernej  
przedmowie dr. Zanna Kormanowa, podkre-  
slajac ponad to „poznawcza postawe” zaslu-  
zonego autora i jego umiejtnosc scislego i  
autentycznego odtwarzania tla epoki i dzia-  
lajacych wrod jej burzliwych fal postaci hi-  
storycznych.

Niezalenie od nieprzecznich zalet au-  
tora, jako uczonego i badacza, nalezy tez pod-  
niec jego „dbalosc o forme, o jasnosc stylu,  
o czystosc jezyka, o literacki powab wy-  
kladu”.

Wszystko to sprawia, ze reedycja „Kuznicy  
Kolatajajowskiej” jest celowa i na czasie, ze  
studium Smoleńskiego, zwiazane z rozbioro-  
wym okresem dziejow Rzeczypospolitej szla-  
cHECKIEJ i dzis przeczyta kazdy z zaintereso-  
waniem i pozytkiem. Uwage swa skupil Smo-  
lenski glownie na postaci kanonika F. S. Je-  
zierskiego, ktoremu poswiecil pierwsza czesc  
ksiazki. W czesci drugiej znajdujemy zywne  
i barwne sylwety innych wspolpracownikow  
i wspolbojownikow Kolataja, wiec — Anto-  
niego Trebickiego, ks. Jozefa Meiera, pijara  
Franciszka Ksawerego Dmochowskiego, Jana  
Dembowskiego i Kazimierza Konopki.

„Kuznica Kolatajajowska” ukazala sie w  
wydawanej przez „Ksiazke” serii pn. „Biblio-  
teka Historyczna”. Wypada zaznaczyc, ze jest  
to wydawnictwo prowadzone planowo, celo-  
wo i racjonalnie, a dotychczas opublikowane  
pozycje wskazuja, iz zasadniczym a wdziec-  
nym zadaniem tej „Biblioteki” jest uwat-  
nienie nieprzerwanej nici postepowych i  
wolnosciowych tradycji w dziejach narodu  
polskiego. **bd.**

### Festiwal polskiej muzyki ludowej

Zorganizowany przez Polskie Radio wspol-  
nie z Ministerstwem Kultury i Sztuki zaslu-  
guje na szczegolna uwage. Objal nie tylko  
muzyke ludowa, ale i taniec, szerzej —  
sztuke ludowa; stal sie prawdziwa uczta dla  
oczu, ukazujac piekno, barwnosc, bogactwo  
i roznorodnosc strojow ludowych w naszym  
kraju, zabaw ludowych, soczystosc i ostros-  
c humoru ludowego, bogactwo instrumentow,  
na ktorzych gra lud polski.

W pierwszym tygodniu festiwalu popisy-  
waly sie zespoly, chory i kapele w liczbie  
okolo 1500 osob: goralskie, wielkopolskie,  
lowickie, kurpiowskie, rzeszowskie, kielec-  
kie, slaskie itd. z wszystkich dzielnic i za-  
katek kraju.

Festiwal muzyki ludowej zasluguje na  
szczegolna uwage nie tylko jako pierwszy  
wszechstronny pokaz zwiazany z zyciem, z  
obyczajowoscia i tworczością artystyczną ludu.  
Ma on niewatpliwie glębsze znaczenie spo-  
leczne i kulturalne.

Obecny festiwal jako dosc bogaty choc  
niepelny przeglad dzisiejszego stanu auten-  
tycznej sztuki ludowej, przede wszystkim  
zaś muzyki i tańca ludowego, powinien za-  
początkować poważną systematyczną pracę  
nad uporządkowaniem i badaniem folkloru  
polskiego. Poza tym już pierwszy tydzień  
festiwalu świadczy o potrzebie i dużych mo-  
żliwościach stworzenia stałych zespołów mu-  
zyki i tańca ludowego na wzór tak popu-  
larnych w ZSRR i znanych w świecie chó-  
rów Piatnickiego i Swiesznikowa czy bale-  
tu Mojsiejewa. Jesteśmy jeszcze niewatpli-  
wie bardzo dalecy od realnych możliwości  
i niezbędnych warunków do stworzenia tak  
wysoko artystycznych zespołów, jednocze-  
śnie zachowujących tradycyjną więź z sztuka  
ludową i utrwalających najlepsze war-  
tości tej sztuki, stale odkrywających nowe  
skarby w folklorze.

Ale już teraz — zawdzięczając to festiwa-  
lowi — warto postawić ambitne zadanie  
stworzenia wzorowych stałych zespołów mu-  
zyki i tańca ludowego.

Festiwal nasuwa dużo innych sugestii.  
Wspomnę o najważniejszych. Przesuwają się  
przed oczyma zespoły o bardziej „czystym”,  
surowym autentyczności (większość wielkopo-  
lskich, Śląsk Cieszyński), najmniej tknięte  
jakąś próbą stylizacji, „kulturalnej obróbki”  
w złym i dobrym tego słowa znaczeniu.

Trafiają się również zespoły, jak np. lo-  
wicki (Zduńska Dąbrowa), w którego wystę-  
pach czuć było dość utartą i zmanierowaną  
już formę pokazu w świetlicach weselnych  
obzędów ludowych (w oparciu o tradycję  
teatru Cierniaka). W danym wypadku auten-  
tyk uległ złej deformacji.

Nasuwa się myśl o potrzebie zwalczania  
złych, ale dość już rozpowszechnionych tra-  
dycji i nawyków pseudoludowości i taniego  
zmanierowania, które uchodzą za autentycz-  
ną sztukę i autentyczny obrzęd ludowy.  
Z drugiej strony — surowy autentyczność  
cy czarem bezpośrednio i świeżości wy-  
maga opieki ideowej i artystycznej dla  
wydobycia najbardziej cennych poetyckich  
walorów, rdzennie związanych z życiem i z  
walką, ze smutkami i radościami ludu.

J. Siekierska

### W Belgii o Targach Poznańskich

„Le Drapeau Rouge”, główny organ Bel-  
gijskiej Partii Komunistycznej, ogłasza w  
numerze z dnia 4 bm. specjalny artykuł, po-  
święcony Międzynarodowemu Targom Poznań-  
skim i zagadnieniom pokojowej odbudowy  
Polski. „Pierwszą rzeczą — pisze dziennik  
— którą dostrzega się z pociągą przybywają-  
cego do Poznania, jest omentarz żołnierzy  
radzieckich, tragiczna pamiątka ofiar, po-  
niesionych przez Armię Czerwoną w walce z  
hitlerowcami. Poszarpane drzewa ponad pro-  
stymi szeregami grobów przywodzą na pa-  
mięć sylwety z lasu w Houthulst, flandryj-  
skiej pamiątki po pierwszej wojnie światowej”.

„Jeżeliby ktoś pragnął obejrzeć to wszyst-  
ko sumiennie — czytamy już na temat sa-  
mych Targów — obejrzanie tej żywej wysta-  
wy, nader interesującej i cieszącej się wiel-  
ką frekwencją, musiałoby zająć szereg dni,  
ponieważ spotykamy tu syntezę i ilustrację  
osiągnięć gospodarki polskiej w czasie ostat-  
niego roku Trzyletniego Planu Odbudowy”.

Opisawszy poszczególne pawilony, Anne  
Vincent, autorka reportażu, poświęca kilka  
znamiennych zdań na temat nastrojów poko-  
jowych w całej Polsce. „Ogólna atmosfera  
kraju — pisze — „przemówienia inaugura-  
cyjne ministra Minca i innych osobistości,



rozwieszono wszędzie cytaty z mów prezy-  
denta Bieruta i ministra spraw zagranicz-  
nych, Modzelewskiego, wreszcie stoisko ONZ  
i szereg zjawisk podobnych świadczy o po-  
kójowej woli mas polskich i rządu polskie-  
go... świadczy o tym, że naród polski skie-  
rował swą uwagą i wszystkie swe nadzieje  
na Kongres Paryski I dlatego, w wiele dni  
po zakończeniu tego Kongresu, na ulicach

# Noty

Poznania, Warszawy i innych miast polskich  
cichy gołąb Picassa rozjaśnia nadal mury  
odbudowanych domów”.

### Zapomniał wół...

Niejaki p. Bohdan Grzeniewski uznał za  
stosowne wypowiedzieć się na łamach „Dziś  
i Jutro” w sprawie zamieszczonej w jednym  
z ostatnich numerów „Kuznicy” polemiki  
Pawła Hertza z K. W. Zawodzińskim w  
sprawie „Ody na wzięcie Warszawy” Tiut-  
czewa.



Jest zrozumiałe, że organ strzelających  
zza katolickiego płota neopozytywistów  
broni apologetów Paskiewicza i Mikołaja I,  
dziwne wydaje się natomiast, że tak nie-  
ogłędnie zamieszcza wywoły, których ter-  
minologia nie może nie przywieść na pa-  
mięć wyznawcom Bolesława Piaseckiego  
spraw nieco dla nich żenujących. P. Gr-  
zeniewski nazywa metodę polemiczną Hertza  
„metoda pałki”. Twierdzi także, powołując  
się na Kazimierza Wykę „gdy nie był jesz-  
cze profesorem i pisywał dowcipne felieto-  
ny”, że „łagodną metodą pałki” stosował  
u nas przed wojną Antoni Slonimski.

Nie wiemy co powie Kazimierz Wyka na  
to powołanie się na jego osobę. Co do nas  
skłonni byłibyśmy jednak mniemać, że „me-  
toda pałki” i to wcale nie „łagodnej” posłu-  
givali się u nas nie Hertz i nie Slonimski,  
ale zupełnie ktoś inny... **rkm**

### Zasługi wydawców

Wreszcie ukazały się pierwsze cztery to-  
my Narodowego Wydania Dzieł Adama Mic-  
kiewicza. Stanowią one niewatpliwie naj-  
dawniejszą zasługą wydawniczą lat powo-

## KORESPONDENCJA

### W sprawie filmu „Cezar i Kleopatra”

W związku z wyświetlaniem obecnie na  
ekranach łódzkiej kinematografii filmu  
G. B. Shawa pt. „Cezar i Kleopatra” przy-  
walam sobie zabrać głos w sprawie ścisłej  
współpracy między autorem a reżyserem,  
Gabrielem Pascalem. Bojąc się o los swoich  
sztuk, lekając się tak często spotykanej tra-  
westacji utworów literackich przez reżyse-  
rów filmowych, G. B. Shaw długo nie mógł  
zdobyć się na autoryzacje wyświetlania jego  
twórczości do celów filmowych. Pierwszym  
szczęśliwcem, który uzyskał jego zgodę na  
próbną początkowo wyświetlenie „Pygmalio-  
na” był właśnie G. Pascal. Następstwem  
wielce udanej, przez G. B. Shawa w całej  
rociągniętości dodatnio zakwalifikowanej pró-  
by, było publiczne wyświetlenie filmu. Wo-  
bec wybitnego sukcesu „Pygmaliona” nie za-  
wahał się Shaw autoryzować „Cezara i Kleo-  
patry” dla celów ekranu. Reżyserię powie-  
rzył oczywiście ponownie G. Pascalowi,  
o którym opisując historię tego filmu (M.  
Deans: „Meeting at the Sphinx”) — tak się  
wyraził: „Ten człowiek jest geniuszem; to  
jest wszystko co mogę o nim powiedzieć”.

Autor i reżyser przystąpili do dzieła. Za-  
częła się współpraca w najściślejszym za-  
czeniu tego słowa, zarówno drogą osobistych  
kontaktów, jak i drogą korespondencji. Jak  
bardzo Shawowi leżał na sercu każdy detal,  
świadczą o tym m. in. jego własnoręczny  
akwarelowy szkic głowy Britannusa, zała-  
czony do jednego z listów przesłanych Pa-  
scalowi, (op. c. str. 37). Świadczy o tym,  
zresztą, cała korespondencja (tamże str.  
32-44). Dowodem uznania dla wysiłków  
pracy Pascala jako reżysera „Cezara i Kleo-  
patry” są początkowe słowa listu Shawa  
z dnia 1.7.1944 (pisane wkrótce po zbro-  
bardowaniu jego mieszkania przez broń „V”)  
w sprawie sceny u stóp Sfinksa: „Już w tej  
jednej, scenie prześcignął Pan samego sie-

bie... Nie aprobuję wszakże nieba nad pu-  
stynią. Gwiazdy i planety są wszystkie tych  
samych rozmiarów i tego samego stopnia ja-  
sności. Powinien Pan być zaangażować ja-  
kiegoś astronoma, aby to poprawił. Jest to  
jedyna rzecz, która zrażała nienaturalny  
charakter sceny... Znosi się na to, iż film  
ten będzie istnym cudem”. Zmianami jest  
również odpowiedź Pascala: „Pański list  
z dnia 1.7. ucieszył mnie bardzo, ponieważ  
utwierdził mnie w przekonaniu, iż jestem na  
dobrej drodze... Raz jeszcze najserdeczniej  
Panu dziękuję, Drogi Panie Shaw, za Pańską  
wizytę, za tak pomocne dla mnie uwagi i za  
słowa zachęty, które będą mnie inspirować  
w dalszej pracy”. Ostatecznie film został wy-  
kończony i wyświetlony ku największej ra-  
dości Shawa.

W „Dzienniku Łódzkim” ukazała się nie-  
dawno recenzja tegoż filmu, której autor  
utrzymuje, że Shaw umarby zobaczywszy  
przerobek filmową swojej sztuki. Korespon-  
dencja Shawa przeczy, jak widać, domysłowi  
recenzenta „Dziennika Łódzkiego” co do opi-  
nii Shawa o jego filmie.

Tadeusz Grzebieniowski

### Istnieje przekład Lukrecjusza

W związku z notą pt. „Filologia klasycy-  
na w ZSRR”, która ukazała się w 191 nu-  
merze „Kuznicy” z dnia 8 maja br., proszę  
o umieszczenie niniejszego sprostowania:

Posiadamy w języku polskim od roku 1924  
przekład poematu Lukrecjusza „De rerum  
natura” dokonany przez dr. Adama Krolde-  
wicza, profesora Uniwersytetu Warszawskie-  
go. Dzieło to, które stanowi najcenniejszy  
pomnik starożytnego epikureizmu, winno do-  
czekać się u nas drugiego wydania.

Władysław Senko  
student filologii klasycznej U. W.  
Warszawa, 8.5.1948 r.

Redaguje: Zespół „Kuznicy” Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”  
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 12.  
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 95 - Telefon 204-75

CENA OGLOSZEN: 2a i mm na 1 szpalie 50 złotych.

### WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie zł 80.-, kwartalnie zł 240.-, półrocznie zł 480.-, rocznie zł 960.-  
Należność za prenumeratę należy wpłacać  
do PKO konto VII-567 „Prenumerata Kuznicy”

Drukarnia Nr 4 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” - Łódź Zwirki  
U-02021

jennyh i godne są obszernego omówienia.  
Przed wszystkim zajmijmy się jednak spo-  
leczno - polityczną stroną tego osiągnięcia  
wydawniczego.

W roku 1920 Sejm Ustawodawczy Rzeczy-  
pospolitej powziął inicjatywę dokonania  
zbiorowego, narodowego wydania dzieł  
wszystkich Adama Mickiewicza. Do urzeczy-  
wistnienia tej ze wszechmiar słusznej in-  
icjatywy przystąpiono dopiero po latach kil-  
kunastu. Wojna przerwała to bardzo póź-  
nione przedsięwzięcie i zaledwie kilka to-  
mów tzw. Wydania Sejmowego ukazało się  
w druku. Wydanie to i ze względu na for-  
mat, i na bardzo rozbudowany aparat kry-  
tyczny — a przede wszystkim na swoją cenę  
— nie dotarło pod strzechy, co najwyżej pod  
dachy miejskie. Inaczej zresztą być wtedy  
nie mogło.

W dniu 5 maja 1945 roku, na swoim  
siódmym z kolei posiedzeniu, na cztery dni  
przed zakończeniem wojny, Krajowa Rada  
Narodowa postanowiła przejąć ową dawną  
i niezrealizowaną w pełni przez lat kilka-  
nastu inicjatywę Sejmu Ustawodawczego.  
W cztery lata po tej uchwale ukazała się  
pierwsza seria, obejmująca dzieła poetyckie  
Adama Mickiewicza. Zestawienie wyżej po-  
danych faktów historycznych nie wymaga  
moim zdaniem żadnego komentarza.



Cztery pierwsze tomy Wydania Narodo-  
wego Dzieł Mickiewicza obejmują — jak  
wspomniałem — utwory poetyckie. Tom  
pierwszy zawiera wszystkie drobne utwory  
lyryczne, ballady, improwizacje etc. Tom ten  
został opracowany przez Wacława Borowego  
(tekst) i Leona Płoszewskiego (przypisy). Tom  
drugi przynosi powieści poetyckie i epickie  
juvenilia (tekst ustalił Leon Płoszewski,  
przypisy — Konrad Górski). Tom trzeci  
obejmuje utwory dramatyczne (opr. Stani-  
sław Pigoń), wreszcie tom czwarty zawiera  
„Pana Tadeusza” według tekstu ustalonego  
dla wydania sejmowego w roku 1934. (Uwa-  
gi o tekście — Leon Płoszewski, objaśnienia  
— Julian Krzyżanowski).

Nieobciążone nadmiernym aparatem nau-  
kowym, pierwsze narodowe, popularne wy-  
danie Mickiewicza jest wydawnictwem wzo-  
rowym pod względem graficznym. Cena po-  
szczególnego tomu wynosi zł. 200, całość —  
cztery tomy — kosztuje 800 zł. Biorąc pod  
uwagę ceny książek w Polsce oraz znako-  
mitą jakość wydawnictwa, cena tego wyda-  
nia jest — jak sądzę — niesłychanie niska.  
Ma to oczywiście doniosłe znaczenie spo-  
leczne, umożliwi bowiem nabycie książek naj-  
szerszym rzeszom czytelników.

Wszystko jak dotąd zasluguje na pełną  
i całkowitą pochwałę. „Czytelnik”, ktoremu  
KRN poprzez Ministerstwo Kultury i Sztuki  
zleciła wykonanie tego wydania, znakomicie  
wywiązał się ze swojej pracy. Jedną tylko  
wątliwość nasuwa mi się, gdy myślę o kol-  
portażu. Na razie cztery wydane tomy są do-  
stępne jedynie na zasadzie prenumeraty. Czy  
nie było rzeczą słusniejszą, by rzucić na ry-  
nek księgarski dzieła Mickiewicza w dużej  
liczności? Niedawne kiermasze księgarskie po-  
kazały, że ludzie w Polsce książkami się  
interesują. Co prawda książki nasze wymagały  
dystrybucyjnej reklamy, w czym niemało po-  
mogli popularni aktorzy, ale Mickiewicz nie  
potrzebowałby przecież tej pomocy. Miełny  
nadzieję, że natychmiast po wyczerpaniu pre-  
numerat, cztery tomy dzieł poetyckich Ada-  
ma Mickiewicza będą rzucone na wolny ry-  
nek wydawniczy w wielkich ilościach i że  
pozostałe jedenaście tomów ukaza się nie-  
długo. **ph**

### TREŚĆ NR. 19:

Mao-Tse-Tung — Myśli o literaturze;  
Theodore White i Annalez Jacoby —  
Awangarda narodu chińskiego; Mieczysław  
Wionczek — Droga Chin; Edgar  
Snow — Przeprawa przez Tatu; M. W. —  
Współczesne drzeworytnictwo chińskie;  
Ai Czing — Człowiek, który umarł dru-  
gi raz (przekład Czesława Miłosza); Sun  
Li — Lotosowe jezioro; Z poezji chińskiej;  
Henryk Gall — Exit Czang Kai-szek;  
Henryk Hiż — Język czterystu milionów;  
Aleksander Jackiewicz — Niezrównany  
pan Czaow Tsyjue; Joanna Guze — Wsta-  
wy warszawskie; Bolesław Dudziński —  
Reportaże z Ziemi Odzyskanych; Adolf  
Sowiński — Zarzę językoznawstwa ogól-  
nego; Przegład prasy; Noty